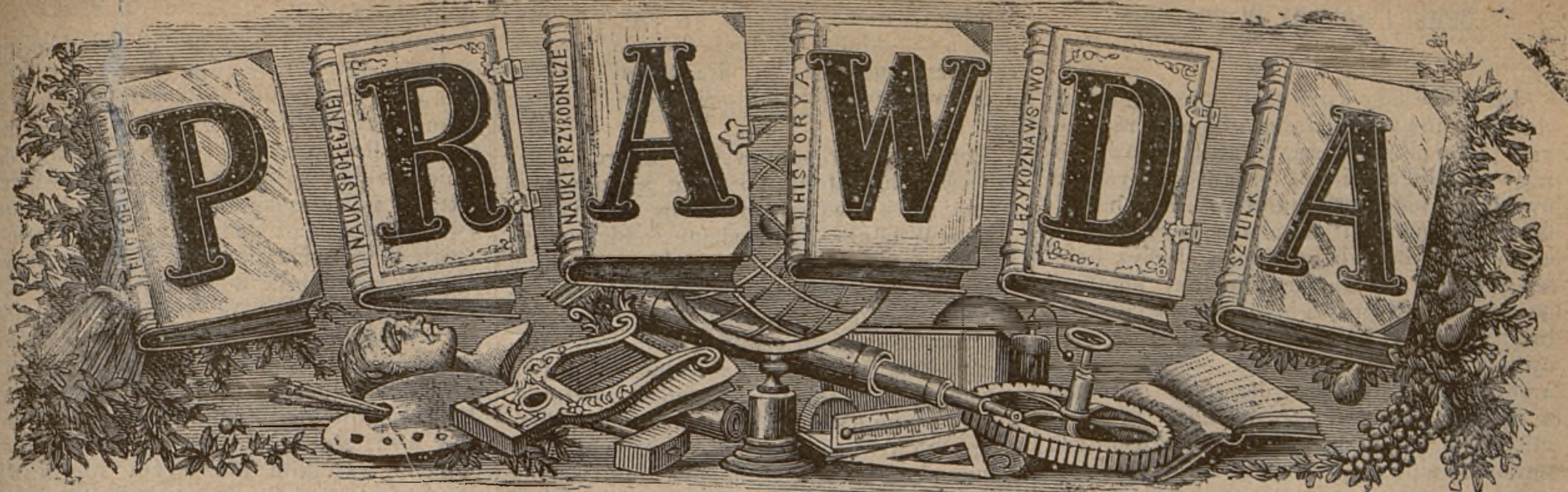
№ 32. Warszawa, dnia 11 Sierpnia (30 Lipca) 1888 r. Rok VIII.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

NIE NA CZASIE.

Niedawno czytaliśmy świeżą rozprawę niemiecką niejakiego Xanthipusa o Heinem. Autor, otworzywszy grób wielkiego poety, napluł weń po brzegi złorzeczeń. Heine był to — według niego — „obrońca i apostoł wszelkiego bezwstydu i rozwiązłości," „typowym łotrem," który „szczycił się swojem łotrostwem," lichym „pismakiem," który nie posiadał ukształcenia „pięcioklasisty," „prawdziwą zarazą szlachetnego i pol[illegible]żnego żydowstwa," „zakałą literatury" itd. itd. Heine nie był nigdy pieszczochem historyków piśmiennictwa niemieckiego, współcześnie nurzano go w rozmaitych kałużach, ale 32 lata oddalenia od jego śmierci złagodziły namiętność sędziów, a umysłowa dojrzałość narodu tłumiła wybuchy dzikiego fanatyzmu. Chociaż więc krytyka, będąca wyrazem zapatrywań większości, trzymała poetę przed drzwiami Panteonu, nie włóczyła go po rynsztokach. Paszkwil przeto Xanthipusa zdziwił nas i zrozumieliśmy go wtedy dopiero, kiedy jeden ze sprawozdawców, mówiąc o nim, dodał: *das ist zeitgemäss* — to jest na czasie.

Zaiste, widząc, co dziś „jest na czasie" w Niemczech, jak wszelkie objawy i wcielenia swobodniejszej myśli są wymiatane skrzętnie, trudno ten wsteczny ruch zbyt surowo karcić w społeczeństwach mniej oświeconych, a zarazem można się pocieszać, że my w postępie cywilizacyi nie jesteśmy ostatni. Bo od literatury zwróćmy wzrok na politykę. Przed tygodniem obchodzono uroczyście 50 rocznicę urodzin głównego przywódcy partyi postępowej, E. Richtera, przyczem jego współwyznawcy polityczni i przyjaciele ofiarowali mu znaczną sumę pieniędzy na działalność dalszą. Ofiara najzupełniej słuszna i zrozumiała, jeśli zważymy, że Richter jest człowiekiem biednym, a jego zawód—bardzo kosztownym. Częste podróże dla poruszenia sprężyn i wygłaszania mów agitacyjnych, zabiegi w jednaniu wyborców wymagają środków i ofiar. Tymczasem prasa, która sama żyje z funduszu gadzinowego i która obnosiła skarbonki po kraju, kwestując dla bogatego kanclerza, zrobiła z jawnej i szlachetnej zapomogi sadze, któremi oczerniła uczciwego człowieka. A jest to przytem człowiek niezmiernie uzdolniony. Pod rządami Bismarka, który go osobiście nienawidzi i manifestacyjnie wychodzi z parlamentu, gdy wódz postępowców głos zabierze, Richter nie mógł wynieść się po nad stanowisko śmiałego opozycyonisty. Gdzieindziej wszakże niewątpliwie zaszedłby bardzo wysoko. Po za ostrym i przytomnym dowcipem, posiada on wyjątkową znajomość wielu spraw ekonomicznych, a zwłaszcza skarbowych, a w pracach komisyj sejmowych nikt sumienniej od niego nie bada rzeczy i nikt gruntowniej nie radzi. I ta pierwszorzędna siła parlamentarna marnieje w bezsilnym oporze, bo — „nie jest on na czasie."

Uniwersytet berliński zmienił rektora. Zaszczyt ten z wielu względów należał się słynnemu anatomo-patologowi Virchowowi. Pominięto wszakże olbrzyma i wybrano Gerhardta, jednego z głównych współpracowników broszury przeciwko Mackenziemu. Virchow bowiem jest również przywódcą partyi postępowej, bronił bezstronnie lekarza angielskiego i cieszył się szczególną sympatyą Fryderyka III. *Takiego* człowieka — powiada *Nordd. Allg. Ztng* — nie mógł uniwersytet przedstawić w godności rektora cesarzowi w pierwszym roku panowania. Daremnie tłomaczono stróżom „czasu," że wszechnica jest instytucyą naukową a Virchow największą jej ozdobą, daremnie przypominano, że właśnie ten człowiek złożył dowody szczególnej miłości dla ojca monarchy. Nic nie pomogło. Wielki Virchow musiał ustąpić, bo jego wybór byłby — „nie na czasie."

Popiersia marmurowe znakomitych mężów, stojące kołem w auli uniwersytetu berlińskiego, spostrzegłszy wychodzącego z urny Gerhardta, uśmiechnęły się boleśnie. W najbardziej oświeconym kraju nie ma już przybytku, nie ma kąta, do którego by swą potężną ręką nie sięgnął duch „czasu," gdzie myśl mogłaby żyć swobodna i niezależna od wrzawy targowiska interesów. Dziwna epoka! Nie „na czasie" talent, zdolność, wiedza; umysły dzielne i geniusze wygnane z życia i skazane na przebywanie w jakiemś wzgardzonem Ghetto, dziedzina ducha ludzkiego otoczona pasem kwarantannowym. Heine mianowany zwykłym łotrem, Richter—szkodnikiem, Virchow — niegodnym rektoratu, w głowie powstaje zamęt od tych opacznych sądów i dzikich haseł.

Przez to bagno gnijących instynktów sączy się wązki strumyk czystych pobudzeń i zasad. W prasie i literaturze niemieckiej nie wysechł on zupełnie i koi pragnienie ust spieczonych skwarem pustyni. Ale jakże on jest małym śród tych trzęsawisk! Do przyszłości niewątpliwie dopłynie i ożywce krople do niej doniesie, ale teraźniejszości nie ogarnie i nie przetworzy. To też nigdy może gwiazdy świecące blaskiem nadziei tak nie przygasły w Niemczech, jak obecnie, nigdy z piersi ściśniętych wątpieniem nie odzywały się boleśniejsze skargi. Literatura nienajmicka i nieupodlona tego narodu brzmi ciągłą skargą, bo widzi, że jej ideały są „nie na czasie."

CZESI I POLACY W WIEDNIU.

Już przed laty kilkunastu spisy ludności, dokonywane w Wiedniu, głęboko rozdzierały piersi prawowiernych austryaków, którzy wszelkiemi siłami pragnęli przyodziać ów zlepek jedenastu narodowości w bawełnianą szlafmycę i szwabską kurtę o świecących, metalowych guzikach. Krzyk boleści wyrywał się im z ust, ile razy spojrzeli na owe długie, prosto jako sznur czarne kolumny cyfr. Z kolumn tych, choć milczących i niemych, strzelała bowiem naga, a okrutna dla nich prawda, że w Wiedniu z rokiem każdym wzrasta ilość innoplemiennych mieszkańców, nienawistnych teutonom słowian, wśród których pierwsze i wybitne miejsce zajmują ruchliwi, żwawi, pełni energii i siły czesi.

Owa powódź słowiańska wzrastała niepomiernie, coraz szersze wyżłabiała sobie i wyżłabia łożysko, a spienionym grzbietem potężnych fal bije o brzegi. Nie napróżno więc drżą cienkie łydki i trwożnie kołacze serce w zaklęsłej piersi „wiernokonstytucyjnych“ liberałów i centralistów, gdyż przed oczami ich przesuwa się Wiedeń nie dzisiejszy, lecz w takiej postaci, jaką przybierze za ćwierć lub najdalej za pół wieku. Z rogów ulic, z szyldów zniknęły nazwiska niemieckie, po kawiarniach i sklepach rozbrzmiewa nie uszlachetniona przez kulturę, lecz gminna gwara czeska. Teatry grywają dramaty Vrchlickiego, *Hlas Naroda* i *Narodni Listy* drukują się tam, gdzie dawniej rozpościerała się *N. fr. Presse.* I to ma być stolica państwa, które na gwałt zwie się niemieckiem, które jeszcze przed trzydziestu laty należało do Rzeszy niemieckiej, i miało swych przedstawicieli na słynnym sejmie frankfurckim!

Wreszcie osławiony filozof „wytępienia bez śladu,“ Edward Hartman, oprawił ów chmurny obraz przyszłości w czarne ramy, proroczym głosem rzucił w świat przepowiednię, że Wiedeń musi się przemienić w miasto słowiańskie, że dla niemieckiego ducha straconym będzie Tyrol, Styrya, Karyntya, Salzburg, obie Austrye, a nawet perła zdobyczy owej — Czechy. Wszędzie tam zwycięzką podniesie głowę hydra słowiańska, od tylu wieków obcinana, a odrastająca na nowo, zginana ku ziemi, a nie dająca się złamać. Istnieje bowiem prawo, czy przeznaczenie, że dla niemca polem działania i zwycięzkich pochodów Południe być nie może.

Pominąmy te rozumowania mędrca kupczącego sofizmatami, boć inne są przyczyny napływu obcych żywiołów do niemieckiego Wiednia. Dowiedziono oddawna, że każde wielkie miasto niby gąbka pochłania coraz więcej przybyszów, znęconych nadzieją łatwiejszego i zyskowniejszego zarobku. Cóż mówić dopiero o stolicy różnojęzycznego państwa, jednoczącej w sobie za sprawą centralistów wszystkie władze naczelne. Już ta jedna okoliczność zmusza do dłuższego lub krótszego pobytu w Wiedniu zarówno słowianina z Dalmacyi, jak i rusina z Kołomyi, lub rumuna z Czerniowiec.

Urzędowe źródła twierdzą, że liczba czechów, stale osiadłych w Wiedniu, przenosi 40,000. Czescy szowiniści atoli, pragnący Wiedeń odzyskać jako część starego państwa wielkomorawskiego, obwiniają owe źródła o fałsz, a liczbę rodaków podają na 200,000. Na to odpowiedź łatwa. Można zataić jedną lub dwie dziesiątki tysięcy, lecz tak olbrzymiej ilości nikt nie zdołałby ukryć. Tajemnica zbyt prędko wyszłaby na wierzch. Według zajęć, należą czesi wiedeńscy do ubogiej lub średnio zamożnej warstwy. Najwięcej między nimi stróżów i szewców, dużo właścicieli drobnych sklepików, w których śledzie leżą tuż obok nafty, a gwoździe przy czereśniach. Znajduje się również wielu robotników i sług, a szczególnie kucharek. Studentów, lekarzów, adwokatów i urzędników garść szczupła.

Początkowo nie trwożono się tym napływem. Ten i ów ręce zacierał z uciechy, gdyż spodziewał się, że już w drugiem, a najdalej w trzeciem pokoleniu owi czesi wynaturzą się. Przewidywania te byłyby słuszne, gdyby nie odnosiły się do... czechów. To plemię, zahartowane w tylu wiekowej walce na własnej ziemi, będące przed pięćdziesięciu laty mniej nawet niż „pojęciem geograficznem,“ z chwilą upadku twórcy tego przerobionego aforyzmu, Metternicha, po raz pierwszy śmielej podniosło głowę. Wreszcie zawitał dzień, w którym ani jeden niemiec nie zasiadł w radzie miejskiej *złatej Prahy.*

Dzielni przywódcy, mając teraz swobodniejsze ręce, spojrzeli dalej. Nie uszło ich uwagi owo niebezpieczeństwo, grożące rodakom, wychodzącym z kraju. Obmyślano tedy środki zaradcze. Równocześnie dziwnie czuły instynkt samozachowawczy ostrzegł i owe masy emigrantów. Poczucie solidarności, nad podziw w nich mocne, sprawiło, że osiedlali się w Wiedniu prawie zawsze gromadnie, w jednej dzielnicy t. z. *Favoriten.* Instynkt ów, wsparty radami ludzi wykształconych, usypał tamę wszelkiej germanizacyi. Naprzód skupili się szewcy i w zgromadzeniu cechowem przeprowadzili rodaków na urząd starszego i członków wydziału. W ten sposób starano się zapobiedz wszelkim możliwym niesprawiedliwościom w imię wyższej kultury przy wyzwolinach czeladników i majstrów. Dalej z ofiar publicznych zebrano spory grosz, za który założono czeską czteroklasową szkołę na *Favoriten.* Dalej na udowodnienie swej obecności w Wiedniu i równości politycznej wobec prawa, wybrano dwóch czechów do rady miejskiej. Wybór był prawny, stąd niemcy, mimo że poruszali wszelkie siły ziemskie i niebieskie, nie zdołali go obalić. Wreszcie przed paru tygodniami w parafialnym kościele wspomnianej dzielnicy miał ksiądz Křesadlo za pozwoleniem miejscowego proboszcza kazanie w czeskim języku. Trzęsienie ziemi nie przeraziłoby bardziej rady miejskiej. W jednej chwili powzięła uchwałę, aby burmistrz miasta naprzód udał się ze skargą do arcybiskupa, potem do namiestnika. Pierwszy powinien ukarać tak proboszcza jak i księdza Křesadla za to, że znieważyli ściany świątyni dyalektem, którego pewnie anieli w niebie nie rozumieją, drugi niech zakaże odbywania takich agitacyj, zakłócających spokój mieszkańców.

Czesi śmieją się z tego kroku, gdyż ciekawym okazem byłby arcykatolicki rząd, zabraniający katolickiego nabożeństwa. Z początkiem zimowej pory pójdą dalej, bo założą swój teatr.

A teraz opowiem rozmowę, którą miałem w Wiedniu przed kilku laty.

Pewnego dnia będąc na dworcu kolei Południowej, prosiłem jednego z niższych

USPOKOJONA.

Les extrêmes se touchent.

Czyta najświeższą powieść Bourgeta i przepada za nim. Pochłania każde słowo. Zdaje jej się, że podała własny mózg pod skalpel mistrza, który zeń wypruwa myśl po myśli. W miarę bardziej uderzających ustępów zasuwa się głębiej w kanapkę, poprawia fałdy roztwierającego się japońskiego szlafroczka i czyta, powtarzając całe ustępy półgłosem.

Za parawanem z jutowej draperyi coś się porusza: Tops przewraca się we śnie zapewne. Na ścianach w głębi pokoju szarzeją porozwieszane bukiety z traw morskich. Otwarta klawiatura drzemie pod niebieskawem światłem lampy, pozostawionej na małym stoliczku przy kanapie.

Cicho zupełnie. Śnieg przestał sypać w okna. Na dole u sąsiadów przestali śpiewać. Staś położył się już dawno.

Bourget tylko mówi porywającym swym stylem.

Zatrzymuje się na jakiemś zdaniu: coś tak jakby z własnych jej ust wyrwał.

Zakreśla ustęp, kładzie książkę na kolanach, ociera usta zmiętą batystową chustką i, bawiąc się rogami, jej myśli.

Szepcze wreszcie półgłosem: „beznadziejny pesymizm.“

Te dwa słowa czepiają się jej mózgu, ściskając go jakby kleszczami. Nie ma chęci czytać dalej. Zagląda do książki: nic nie rozumie.

Zwiesza głowę na piersi: smutno jej i ciężko. Opanowywują ją pragnienia, która w dzień zagłusza rozmową. Chce tworzyć, czy żyć wielką ideą; chce pracować, jak niewolnica, od świtu do późnej nocy.

Lecz po co? Dla kogo?

Na świecie nie ma zapału, nie ma szlachetnych dążeń; ludzie—to maryonetki albo nerwowi paralitycy.

Sięga do stoliczka po swój pamiętnik: co w nim zapisze?

Smutek, beznadziejność, słabość nerwów swoich?

Wyrywa kartkę: chce na niej skreślić program przyszłego swego życia.

Od jutra ma pracować poważnie.

Lecz co jej, co komu z tego przyjdzie?

Burzy się wewnętrznie.

Wstaje, chcąc złożyć pulpit i zamknąć klawiaturę.

Wpada jej w ręce ulubiony walc Moszkowskiego.

Nuci go po cichu, przechylając głowę w takt rytmu.

Pozbierała nuty, uporządkowała je na półce, ma przykręcić lampę i wyjść z pokoju.

Tymczasem jeszcze raz zagląda do otwartej książki.

Bohaterowie Bourgeta mają zwyczaj nawet w chwilach największych uniesień zastanawiać się nad przeszłością swoją.

Czy to prawdziwe?

Jedni się tem zachwycają, inni ganią: ona wierzy w dar psychologiczny autora.

Siada znowu na kanapie opiera rękę na poręczy, zwiesza na nią głowę, zakrywa oczy i myśli dalej.

Parę obrazków z lat dziecinnych przebiega jej przez głowę.

Nic nadzwyczajnego.

Żaden fakt wybitny nie stanął jej na drodze, żadne wstrząśnienie nie poruszyło nerwów.

Raz na pensyi skarano ją za napisanie powieści p. t. „Tajemnicza rodzina,“ której bohater, ksiądz, miał aż siedmioro dzieci.

Przez dwa tygodnie musiała jadać przy oddzielnym stole: to było największe zmartwienie, jakie zapamiętała.

Zresztą, uczyła się dobrze, lubiła profesorów, profesowie ją lubili. Skończyła pensyę wcześnie. Potem była w domu. Trochę ją męczyły gderania matki i babki, lecz słuchała ich z uśmiechem, którego u siebie nie cierpiała, a który miała zawsze i dla wszystkich.

Doszedłszy do lat siedemnastu, zakochała się w p. Stanisławie; on w niej nawzajem.

Od lat dziewięciu jest prawną jego żoną; nie potrzebuje pracować dla chleba; nie ma dzieci, a dzień liczy dwanaście godzin.

Jutro rano wypije herbatę ze Stasiem, który zaraz ucieka do pracy, przeczyta głośno dwom przyjaciółkom, które ją zamęczają swoją miłością, traktat Naqueta *O rodzinie,* wyszperany między książkami, potem zjo obiad z mężem, wyjdzie albo i nie wyjdzie na spacer z p. Adamem lub z p. Eugeniuszem, którzy czasem ją bawią, czasem nudzą, a najczęściej — nie bawią i nie nudzą.

urzędników o kilka wyjaśnień. Język mój, nienawykły do brzmień niemieckich, wymawiał je z trudnością. Wtedy zagadnięty urzędnik uśmiechnął się i rzekł po polsku:

— Pan jesteś moim ziomkiem.

— Ah! — zawołałem — to prawdziwa niespodzianka!

I nuż począłem obrzucać go różnemi pytaniami. Dowiedziałem się, że od lat dziesięciu mieszka w Wiedniu itd. W końcu, gdy chciałem pożegnać go, podbiegła mała, ośmioletnia dziewczynka i przemówiła do niego kilka słów po niemiecku. On pogłaskał ją po różowych i pełnych policzkach.

— Czyje to dziecko? — spytałem.

— Moje.

Zwróciłem się do dziewczynki i rzekłem:

— Chodź, kupię ci pomarańczę.

Lecz ta, przestraszona i zdziwiona równocześnie, z szeroko otworzonemi oczkami, schowała się po za ojca. Nagle uderzył mię krwisty rumieniec, oblewający ściągłą twarz ziomka. Zawstydzony, z oczami utkwionemi w kamienną posadzkę, szepnął:

— Nie rozumie po polsku.

— Jak to?

— A kiedyż miała się nauczyć? Ja prawie przez dobę całą mam służbę, żonisko pracuje w magazynie, dziecko zaś od rana idzie do szkoły. Tam pozostaje do wieczora i ciągle tylko słyszy niemiecki język, czy to z ust nauczycielki, czy od koleżanek. Gdybyśmy mieli naszą szkołę...

Tu urwał zniechęcony i machnął ręką.

Zaciekawiło mię to. Z odpowiedzi, jakie odebrałem od niego i z opowiadań wiarogodnych ludzi, dawno w Wiedniu zamieszkałych, ułożyłem taki obraz. Polaków w Wiedniu znajduje się nie wiele mniej, niż czechów. Pod względem materyalnym znaczna część z nich ma się dobrze, niektórzy nawet świetnie. W zimie przebywa tutaj mnóstwo arystokracyi, w czasie posiedzeń Rady państwa posłów i dziennikarzów polskich sporo. W ministeryalnych listach urzędniczych co kilka linij napotkasz polskie nazwisko, to samo w głównych dyrekcyach kolejowych. Osławiony Länderbank, ze wstydem trzeba wyznać, przeważnie polakami obsadził swe biura. Nie brak i inteligencyi i starych wysłużonych wojskowych, którzy tu dogorywają. A jednak istnieje tylko kilka stowarzyszeń, wiecznie kłócących się pomiędzy sobą, założonych gwoli ambicyi pojedynczych jednostek. Zresztą mają one przeważnie cele towarzyskie. O działaniu na szerszą skalę i mowy nie ma. Mimo to arystokracya odsuwa się od nich, jak od miejsc zapowietrzonych. Na jednem tylko polu schodzą się. Coroczne bale, na których nie głowa, jeno nogi winny pracować, mają świadczyć o żywotności społeczeństwa. Tymczasem dzieci warstw uboższych, których tutaj również nie braknie, niemczeją. Dojdzie do tego, że nie będą umiały mazura zatańczyć.

Z tego jasno, jaskrawo krzyżującego się przeciwieństwa nowy wynika dowód starej prawdy, że do trwałej roboty społecznej podatniejszymi są żywioły, nie zakażone krwią błękitną. Namulona dłoń bowiem umie ciągle wyrabiać świeże cegiełki, a z nich lepić nowe ściany społecznego mrowiska, połączone cementem wytrwałości, zczepione razem żelaznemi ogniwami spójni.

A. Witski.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Jeszcze echa zjazdu monarchów odbijają się w prasie europejskiej, drażniąc ciekawość dotąd niezaspokojoną. Nafabrykowano wprawdzie obfity zapas domysłów, który wystarczy na długo, ale one nikogo nie zadawalają. Najwięcej uwagi zwróciła wieść, jakoby niedługo miał być zwołany „kongres" dla uporządkowania sprawy bułgarskiej. Pomimo całej ważności tego procesu, nie możemy uwierzyć, ażeby dla samej sprawy bulgarskiej zbierano tak uroczysty sąd. Albo więc z nią połączone będą inne, albo też owa zapowiedź jest zwykłą kaczką. Pozwolono jej pływać swobodnie, bo pani Adam, redaktorka *Nouvelle Revue*, która już ogłosiła tyle tajemnic dworskich, cisnęła dosyć głośną pukawkę, mianowicie wydrukowała jakoby rzetelne przedstawienie, które ks. Bismark złożył Fryderykowi III piśmiennie przeciwko małżeństwu jego córki z ks. A. Battenbergiem. Dokument ten nie zawiera w swej treści nic nowego i ważnego; znajdujemy w nim tę samą logikę polityczną, którą w swoim czasie rozrobiły półurzędowe pisma niemieckie. Jeden tylko wyraz, gdyby był prawdziwy, nie znosilby światła dziennego, mianowicie: *„pozorna* przyjaźń z Rosyą," której potrzebę kanclerz podawał jako główną przeszkodę małżeństwa. Na ów wyraz „pozorna," przypuszczając, że jest umyślnie błędnym przekładem niemieckiego „offenbare" — widoczna, rzuciły się naprzód gazety pruskie, ale ponieważ tem samem dowodziły niejakiej wiarogodności całego tekstu, pospieszyła im na pomoc *Nordd. Allg. Ztng*, która armatnim strzałem rozbiła „fałszerstwo." Według niej, kto tylko bodaj powierzchownie obeznany jest z obyczajami i obrzędami służby ministeryalnej przy głównym ołtarzu państwa, odrazu rozpozna, że kanclerz nie mógł napisać takiego przedstawienia do monarchy, że ono więc w miesięczniku francuzkim jest dowolnem podrobieniem, zdradzającem w wielu punktach niewprawną rękę. Ale nawet w tym wypadku gorączka, z jaką się rzucano na podrzutka, wynalezionego przez panią Adam i długie o nim rozprawy przekonywają, że on zdziwił i zaniepokoił kancelaryę ks. Bismarka i że stanowi pewne odbicie rzeczywistości. W przeciwnym razie oświadczonoby po prostu, że nietylko sam dokument jest sfałszowanym, ale podobny nigdy nie istniał. Zauważyć należy, że obawa urzędu kanclerskiego nie tyle może płynąć z treści tego wykradzionego mu papieru, ale z faktu otworzenia niewidzialną ręką zamku jego tajemnic. Kto posiada klucz dorobiony, a jeśli posiada, czy ważniejszych dowodów nie wykradnie? Wszakże dotąd żyje wiara, że do Londynu odwieziono całe paki papierów po Fryderyku III. A co tam znajduje się w owych pakach!

Jest to jeden szereg domniemań. Ale można wysnuć drugi: kto zaręczy, że nie patrzymy na ilustracyę przysłowia: „złapał kozak tatarzyna, tatarzyn go za czub trzyma." Może z Berlina podsunięto pani Adam zdobycz, którą ona schwyciła i pokazała światu, a bezwiednie usłużyła ks. Bismarkowi? Bo ostatecznie mniemany jego raport zawiera mocno zaakcentowaną potrzebę związku z Rosyą, związku, o który Niemcom widocznie chodzi. Zapewne, domysł to

---

Po jutrze to samo: w środę, w czwartek to samo.

Nieraz przychodziło jej na myśl rozkochać się w kim do szaleństwa i wywołać głośny skandal.

Staś stawał na przeszkodzie.

Nie chciała się przyznać przed nikim, nawet przed sobą, że go kocha; mówiła o nim zawsze tylko „lubię go, bardzo," a do niego — całując dwa palce prawej ręki i dotykając niemi jego ramienia — „lubię cię bardzo."

W rzeczywistości jest jej droższym nad wszystko; tylko — nie ma zapału.

Nieraz rozogniona jakimeś zagadnieniem społecznem, które przy niej poruszono, świeżym autorem, którego przeczytała lub głośnem odkryciem, powtarzanem przez wszystkich, chce o tem mówić z mężem.

Na pierwsze zapytania odpowiada jej łagodnie, jasno tłomacząc spokojnie, treściwe i wyrozumowane swe poglądy.

Ona naciera; chce go ożywić, chce, aby z nią razem błądził w sferach hypotez, zapuszczał się w fantazyjne rojenia o doskonałym np. ustroju społecznym, podchwytywał subtelne jej myśli, tak żywe, ruchliwe, że sama nieraz nie umie ich złożyć w jedność całość.

Umysł jej gorączkuje; wyobrażenia powstają chaotycznie, jedne wypierając drugie, szukając czegoś, coby niemi zupełnie mogło owładnąć.

Staś po wypowiedzeniu logicznych swych poglądów całuje ją w czoło i zabiera się do poobiedniej drzemki albo wychodzi na miasto za interesami.

Zostaje sama z niewypowiedzianemi myślami, z chaosem cisnących się na usta wyrazów.

Za powrotem obrzuca męża gradem wymówek.

„Pisz" — odpowiada jej na to.

„Pisz" — powtarzają najbliżsi znajomi, powoływani na sędziów małżeńskich rozterek.

Pisze listy, pamiętniki, pisze na okładkach książek tworzone naprędce aforyzmy i paradoksy, za któremi przepada, ale to jej nie wystarcza.

Obwinia Stasia, że nie umie się do niej zastosować.

Różni ich temperament, różnią upodobania, poglądy estetyczne.

On przepada za wsią; rozkoszuje się zapachem dojrzewającego zboża, łąk skoszonych, sosnowych lasów.

Z psem i z dubeltówką może błądzić po polu całymi dniami, nie czując zmęczenia, mając w duszy wielki spokój.

Ona żyje tylko życiem miasta, ruchem, gwarem.

Niecierpi wsi, jednostajnego widoku szerokich płaszczyzn, które oko obejmuje odrazu bez potrzeby szukania czegoś po za niemi.

Z tysiąca przedmiotów lubi zawsze wybrać jeden, na którym by wzrok spoczął przez chwilę, ale lubi go znaleźć z trudnością i wypatrzeć sama.

Staś jej nie rozumie; nie rozumie, dlaczego woli górę, aniżeli morze, a choruje na wsi.

Wiosna nadchodzi, a z nią rozmyślania i sprzeczki, co zrobić z latem, dokąd jechać?

Zawsze jedno i to samo. De-Ryons, bohater Dumasa, którego rozbiera Bourget w swoich szkicach, ma życie sparaliżowane skutkiem zbytku i różnorodności wrażeń.

Czy to być może?

Wstaje, przeciera oczy, sięga ręką po chustkę, rzuconą na kanapę i chce wyjść. W tem coś błyska w jej umyśle: siada napowrót i, przechylona w tył, z oczami, utkwionemi w niebieskie obicie ściany, rozkłada palce lewej ręki, dotykając ich kolejno wskazującym palcem prawej.

Rachuje widocznie. Następnie zaczyna się rozglądać po pokojach i, przesuwając wzrok z jednego przedmiotu na drugi, porusza ustami tak, jak gdyby mówiła: „to moje, to jego."

Nareszcie wysuwa szybko szufladę stolika i, wyjąwszy leżący w niej na wierzchu ostatni list p. Zofii, medycyniorki z Paryża, czyta go powoli, z odpoczynkami.

Zazdrości jej zapału, werwy, nadziei na przyszłość, wiary w siebie; zazdrości wreszcie studenckiego życia.

Za miesiąc pojedzie tam. Musi się uczyć, musi pracować, musi być czemś w świecie.

Znowu liczy. Pisze kolumny cyfr na kartce, wydartej z pamiętnika, przekreśla jedne, dodaje drugie, szuka coraz nowych w pamięci; wreszcie otrzymuje jedynkę z trzema okrągłemi zerami.

„To mało. Skąd weźmie więcej? Czy Staś co doda? Co na to powie?"

tylko, ale nieleżący po za granicami prawdopodobieństw. Polityka niemiecka umie zastawiać sidła, jest dowcipną i przebiegłą.

Paryż stał się znowu areną walki kapitału z pracą. Tysiące robotników, przeważnie kopaczów, urządziły bezrobocie. Bunt ten przebiega zwykłą koleją, zakomicie nakreśloną w *Germinalu* Zoli: z początku okazuje wielkie natężenie, które w miarę głodu i niedostatku słabnie, ale znowu w miarę przybywających pobudzeń wybucha. Ot właśnie przed paru dniami pogrzeb generała komuny Eudesa rozpalił namiętności. Robotnicy strzelali do policyi, aż wreszcie wojsko musiało wystąpić zbrojnie.

Za przykładem Paryża idzie prowincya, która również urządza bezrobocie. W całym tym buncie pracodawcy trzymają się bardzo opornie.

Jak zwykle w tej porze polityka nieco drzemie, warsztaty dyplomatyczne odpoczywają. Krążą tylko zapowiedzi, które przedewszystkiem dotyczą dalszych podróży ces. Wilhelma.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY Z NAD BALTYKU.

I.

Zajęcie się krajem nadbaltyckim. — Podział ludności. — Emancypacya estów i łotyszów. — Rozwój prasy. — Jansen, Jacobsohn i Calning. — Źródła siły. — Zawzięty łotysz. — Stronnictwa. — Doznane zawody. — Opinie prasy. — Szlachta nie zginie! — Szczytna tolerancya. — Dążenia „wschodnie.“ — Wpływ pobytu w Petersburgu. — „Upaństwowienie“ interesów łotewskich.—Mowa p. gubernatora.— Losy szkoły estońskiej. — Pisownia słowiańska. — Prasa niemiecka.

Z pomiędzy krawędzi państwa ruskiego gubernie nadbaltyckie w chwili obecnej najwięcej pochłaniają uwagi publiczności. Przyczynę zajęcia się tym krajem wykazało już *N. Wremia*. Rzeczywiście centralizacyjna działalność rządu skierowała się ostatnio głównie ku instytucyom tutejszym, które, dzięki sprytowi swych mieszkańców, korzystają do dziś z uprzywilejowanej organizacyi, zasadniczo odrębnej od ogólno-państwowej.

Nie ta atoli jedna przyczyna zogniskowuje powszechną ciekawość nad wybrzeżem Baltyku. Jednocześnie rozgrywa się nader zajmująca, zawzięta walka, jaką wiodą rdzennie miejscowe narody z niemcami.

Ludność tutejszą składali niemcy-szlachta, potomkowie rycerzy wojowniczych, osiadłych dla apostołowania mieczem chrześciaństwa wśród szczepów fińskich, dziś przeważnie większi właściciele ziemscy, oraz przewodniczący w samorządzie krajowym; mieszczaństwo, też niemieckie, rej wiedzie w miastach, które prawie wyłącznie obsiadło; łotysze zaś, estowie, po części litwini, stanowili właściwą masę ludności, jako rolnicy wiejscy. Przed 50 jednak laty objawił się ruch przeciw usilnej germanizacyi, jaką wonczas przedsięwzięło rządzące samowładnie stronnictwo niemieckie, który naruszył „harmonię“ troistego podziału. Pojęcia „chłop“ i „łotysz“ przestawały już być jednoznacznikami; niekoniecznie każdy wykształcony łotysz ulegał strawieniu przez ochoczy do tego rodzaju pokarmów organizm społeczności niemieckiej. Obudziła się samowiedza narodowa i, jak duch Banka, na widownię publiczną wypłynęli nowi ludzie, groźną postawą, energicznymi czynami domagając się praw bytu, praw obywatelstwa dla swej mowy i narodowości. Nie na długo wystarczyła niemcom, przywyklym gardzić tym „motłochem,“ pociecha, że to marzenia i tylko marzenia, którym nigdy nie będzie sądzonem przeistoczyć się w rzeczywistość. Dziś na inną zmuszeni są grać nutę; tak jest: *man muss leben und leben lassen!*

Ciekawą ilustracyą do tego ruchu emancypacyjnego ludów nadbaltyckich stanowić może kartka z dziejów piśmiennictwa estońskiego. Pierwszy tygodnik pod tytułem *Maarahwa*, wychodził w latach 1821—1825, pod redakcyą Masinga, „ojca piśmiennictwa estońskiego.“ Na zapewnienie dłuższego żywota temu pismu nie stać było ówczesną Estonię. Słynny jej działacz polityczny — Jansen, dopiero w r. 1846 rozpoczął starania o koncesyę na wydawnictwo nowego organu. Wkrótce musiał je powtórzyć z jednakiem atoli niepowodzeniem: ówczesnie wszechwładni, zajmujący wszystkie wyższe szczeble administracyi niemcy, umieli się sprzeciwić powstaniu pisma estońskiego, piętnując w Petersburgu ruch ludowy jako „jakobiński.“ Jedenaście lat później uzyskano tak pożądane pozwolenie; powstają też natychmiast dwa pisma: w Dorpacie redagowany przez pastora Willigerode *Talurahwa Postimees* i w Pernowie przez Jansena *Pärnu Postimees*. Ten ostatni publicysta niemałe położył zasługi w sprawie odrodzenia i obudzenia pogrążonej w śnie społeczności estońskiej. Musiał on stworzyć czytelników, wywołać zapotrzebowanie na słowo drukowane, zdobyć serca swego ludu. Udało mu się to zresztą, szczególnie w okresie od 1864 do 1880 r., wydawał w Dorpacie najpoczytniejszy wówczas *Esti Postimees*, dopóki schorowany, sterany walką nie był ustąpił z pola. Po nim już Jacobsohn, zwolennik i twórca t. zw. „wschodniego“ programu, pchał w piśmie *Sakala* dalej łódź estońską, kierując ją coraz to na wyższe fale, coraz to na szerszych widnokręgów morza. A dziś iluż to czytelników liczy w drobnym tym narodzie piśmiennictwo estońskie! *) Niemniej szybkim i znacznym był rozwój prasy łotewskiej, gdzie tacy działacze, jak zmarły niedawno wybitny adwokat Kalning i wielu innych, rzetelne z czasu i pracy składali ofiary na ołtarzu dobra społecznego.

Zadziwiające siłę i energię, jaką estowie i łotysze wykazują w walce z możniejszymi od nich niemcami, wytrwałość cechująca ich działania zbiorowe, zawdzięczają niewątpliwie, pomijając zalety narodowe, swej jednolitości. Społeczeństwo to rzetelnie demokratyczne, nie w imię jakiejś z góry przyjętej maksymy teoretycznej, lecz dzięki dziejowemu rozwojowi swemu, w którym epoka wytwarzania się innych jak ludowe

*) W r. 1386 wychodziło pism estońskich 14; z tych 6 w Dorpacie (*Eesti Postimees*, *Olewik*, *Postimees*, *Meelajahutaja*, *Oma Maa* (miesięcznik) i jedno pismo muzyczne; w Rewlu — 4 (*Walgus*, *Fallima Soeber*, *Wirulane*, *Rostirahwa puchapäewa leht*). w Rydze jedno (*Kündja*); w Fellinie — *Sakala*; w Arensburgu — *Saarlane* i w Petersburgu — *Wirmaline*.

Tworzy sobie na prędce całą z nim rozmowę. Słyszy jego powolne, wykwintne i przekonywające argumenty: skupia całą uwagę, aby je odeprzeć.

Nigdy jeszcze nie myślała tak długo i tak ściśle. Coś w mózgu zaczyna ją boleć od natężenia pojęć. Chce przez tę jedną noc zebrać wszystkie plany, zgrupowaćje w całość i z rana przedstawić Stasiowi.

Boi się jego logiki. Przewiduje wszystkie zarzuty. Musi z nim walczyć własną jego bronią: inaczej — zbija każde jej słowo.

Zaczyna notować warunki, na jakich chce wyjechać i powody, skłaniające ją do tego. Pisze i przekreśla wyrazy, niezadowolona z jednych, niedowierzająca drugim.

Ma dopiero dwie strony. Do końca jeszcze daleko, a pióro już drży w jej ręku. Doznaje znużenia wszystkich członków, jak po ciężkiej fizycznej pracy. W uszach zaczyna jej dzwonić.

Nie rozumie swego stanu. Nieraz buntują się jej nerwy, lecz nigdy tak, jak dzisiaj.

Już późno. Zegar w jadalnym bije trzecią. Lampa gaśnie.

Wstaje, ziewając. Nie może myśleć. Uczuwa w głowie straszny ciężar. Coś ciągnie czaszkę jej ku tyłowi, a skronie ściska żelazną obręczą. Pojęcia rwą się chaotycznie.

Pierwszy raz w życiu doznaje podobnego wrażenia: zawsze była dość silna, na nic nie narzekała.

Choruje tylko po sprzeczce ze Stasiem; mówi wówczas, że jej „się dusza obiera.“

Ale to co innego.

Zdmuchnęła lampę i przeszła do salonu.

Stanąwszy przy stole, chce jeszcze raz przeczytać list p. Zofii.

Nie może poskładać liter: skaczą w zmęczonych jej oczach, jak żywe.

„Co to jest?“ — szepcze, dotykając ręką czoła, skroni i powiek.

Spogląda przed siebie i drga gwałtownie. Przeraża ją figiel własnego sprytu, podziwiany przez wszystkich: lampa z czerwonym abbat jour, postawiona na stole wprost dwóch przeciwległych zwierciadeł i odbijająca się w nich nieskończonym szeregiem.

Przykręca ją.

Gasnący płomień zsuwa się powoli z rozstawionych po rogach pokoju słupów i wazonów, z rozrzuconych tu i owdzie chińskich wachlarzy, z różowych główek hijacyntów i połyskujących liści palmowych.

Wszystko ją trwoży.

Ciemniejące przedmioty cisną się na nią jakby zwartym szeregiem.

Wbiega szybko do sypialnego pokoju i, stanąwszy przed łóżkiem Stasia, woła nań.

Staś śpi smacznie. Pąsowe obicie ścian rzuca odblask na bladą jego twarz. Uśmiecha się przez sen.

„Stasiu, Stasiu!“ — powtarza kilkakrotnie, uderzając go po ramieniu.

Zbudzony, siada na łóżku, przeciera oczy i, rozglądając się dokoła, pyta:

„Co to jest, co to znaczy?“

Nie, tylko się przelękłam, bo mi tak głowa cięży i w skroniach boli, jak gdybym...

Rozpłakała się głośno.

„Musiałaś myśleć o czemś niepotrzebnem.“

Wychyla się, sięga ręką po zegarek i, spojrzawszy na godzinę, mówi:

„No, nic dziwnego; już po trzeciej.“

Posadził ją na łóżku, przy sobie, objął w pół, pocałował w usta, w oczy, pogładził po włosach i rzekł:

„Śniło mi się, że byłem na wsi. Szedłem przez skoszone łąki. Pyszny był zapach świeżej jeszcze trawy. Tops coś węszył przede mną. Doszedłem do szarego płotu, oparłem się o słupek i patrzyłem na zachodzącą pąsową kulę słońca.

Tyś zawołała na mnie: sam nic wiedziałem, skąd ten głos idzie. Nie mogłem się rozbudzić. Tak mi było dobrze. Zapomniałem, gdzie jestem. I teraz jeszcze to obicie na ścianie miga przede mną, jak czerwone makówki w polu.

Połóż się i myśl sobie tylko o szarym płotku, o zielonej trawie, o rzeczce gdzie zdaleka; myśl sobie, że jesteś na wsi, że idziesz do lasu z książką, że jest ciepło i cicho: to cię uspokoi.“

Pocałował ją jeszcze raz w czoło, musnął palcami po policzkach i szyi i położył się napowrót.

„Zawsze jedno i to samo“ — mruknęła, ruszając ramionami i zrywając się z łóżka.

Podeszła szybko do toalety.

Stanąwszy przed lustrem, obejrzała się.

Staś już śpi znowu.

(D. n.)

Cecylia Walewska.

warstw społecznych, przypada dopiero na drugą połowę wieku bieżącego, kiedy to już ludzkość całkiem inne socyalne uurtowały prądy i zapatrywania. Adwokaci, lekarze, dziennikarze itp., rekrutujący z pośród siebie dziś przywódców politycznych, wyszli niedawno wprost z ludu, łączą ich do dziś wielorakie, świeże jeszcze, więzy ze wsią, a wzniosły, społeczną karność tworzący ruch emancypacyjny coraz to liczniejsze, nowe powoduje spójnie. Piśmiennictwo istnieje bezpośrednio dla ludu i bezpośrednio się z nim porozumiewa. Tym sposobem cały naród działa łącznie, a stąd siła, stąd wytrwałość.

Jak zawzięci są łotysze, za przykład służyć może następujące zdarzenie. Pewien mój znajomy, polak, zwiedzając pole wraz z właścicielem niemcem, zapytał o coś po niemiecku parobka, łotysza, z którym gospodarz mówił po łotewsku. Odpowiedź uzyskał w języku ludowym. Nie pomogły namowy i tłomaczenia niemca, że gość jego jest przybyszem-cudzoziemcem, nierozumiejącym mowy łotewskiej. Zawzięty chłop na całą argumentacyę miał jedną tylko odpowiedź: „skoro nauczył się po niemiecku, mógł się nauczyć i po łotewsku.“

(D. n.).

A. Rosset.

BADANIA NAUKOWE.

ROZWÓJ RODZINY.

III.

Jaką przyszłość przed instytucyą rodzinną roztacza rozwój społeczny śród postępowych społeczeństw „aryjskich?“ Giraud-Teulon, skreśliwszy dotychczasową ewolucyę rodziny, polegającą na zwężaniu kół małżeńskich, oraz zaznaczywszy zarzuty, jakoby ona przeciwdziałała powstawaniu uczuć społecznych, zadaje pytanie, czyżby i tu pozostałość, złożona z ojca, matki i dzieci, po tak niegdyś ludnej grupie małżeńsko-rodzinnej miało się rozpłynąć w społeczeństwie? Sądzi raczej, iż „monogamiczny typ rodziny utrwalił się na stałe w obyczajach człowieka pod wpływem miłości pomiędzy jednym mężczyzną a jedną kobietą — uczucia, dążącego z postępem do stania się w tej formie główną namiętnością ludzką.“ W swem dowodzeniu opiera się on na fakcie, że „monogamia stanowi poniekąd najwznioślejszą formułę dla własności indywidualnej,“ mniema bowiem, iż ta ostatnia przedstawia ostateczną już zdobycz ludzkości. Jest to jednak nieuprawnione przesądzanie faktów. Własność prywatna była swego czasu i jest poniekąd jeszcze obecnie najpotężniejszą dźwignią postępu technicznego, stanowiąc postać władania, uniezbędnioną przez same metody wytwarzania dóbr materyalnych. Atoli powstają sposoby produkcyi, wobec których może stać się ona jedynie zawadą dalszemu potęgowaniu wytwórczości i panowania człowieka nad przyrodą. Dodajmy do tego rosnące ograniczenia „prawa użycia i nadużycia“ względem własności indywidualnej: prawa państwowe, regulujące gospodarkę leśną i myśliwską, ustawodawstwo fabryczne, nakładające ciągle na użytkowanie z wynajętej siły roboczej i inne ograniczenia, zmierzające w kierunku przeciwnym, niż sądzi Giraud-Teulon; uwzględnijmy także wzrost mienia publicznego: muzeów, parków, dróg, wodozbiorów, podążający, jak zapewnia p. Trepka, z szybkością lawiny; zauważmy jeszcze głosy ze strony „ludzi porządku,“ domagające się unarodowienia renty (Spencer, Mill) lub wprowadzenia spółkowin rolnych (Laveleye, Wallace), a zmuszeni będziemy przyznać, iż nadzieje szwajcarskiego badacza, jakoby własność indywidualna stanowiła ostateczną zdobycz w dziedzinie form posiadania, niekoniecznie są uzasadnione. I cóż stanie się wówczas z rodziną „ową najwznioślejszą formułą“ dla prywatnego posiadania? Spencer, lubo w poglądach na przyszłość nie lubi oddalać się zanadto od panujących wzorów, zajmuje wyraźniejsze stanowisko. Sądzi on, że w przyszłości nastąpi wzmocnienie pierwiastków, sprzyjających wychowaniu dzieci. Monogamia stanie się „istotniejszą,“ i opinia publiczna surowo karcić będzie związki nieoparte na wzajemnej sympatyi. Samo małżeństwo zrywanem będzie z ustaniem tej spójni uczuciowej. Kobieta zdobędzie szersze prawa polityczne i większe widnokręgi umysłowe. Lecz, uwzględniając wyłącznie czynniki biologiczne z zaniedbaniem ekonomicznych, filozof angielski mniema, że grupa z dwojga rodziców i dzieci trwale stanowić będzie wyodosobnione w społeczeństwie grono z własnym „domem,“ w którym kobieta spełniać winna funkcye pedagogiczno-gospodarcze.

Poprzestaniemy na przedstawieniu dwóch powyższych szkiców rodziny przyszłej i weźmiemy się do samodzielnego rozejrzenia faktów, przypominając już uprzednio rzuconą uwagę, że śród warstw pracujących, wskutek szczególnych warunków zarobkowania i własnościowych, monogamia zbliża się ku t. z. rodzinie parzystej i coraz nieodpowiedniej spełnia obowiązki wychowawcze względem reprodukcyi gatunku. Fakt ten wraz z wielu innymi okazuje całe znaczenie czynników ekonomicznych w kształtowaniu rodziny. Dlatego właśnie, zamiast poprzestania na sferze biologicznej, jak czyni Spencer, zajmiemy się rozpatrzeniem dążeń ekonomicznych na przyszłość i z ich natury postaramy się odgadnąć nastające formy małżeńskie dla reprodukcyi gatunku.

Przedewszystkiem należy zauważyć bezustanne rozszerzanie pola zarobkowania kobiety. Naprzód, ruguje ona z przemysłu mężczyznę, gdy wraz z nim pracuje *); jest to zjawisko powszechne, wynikające z wprowadzania maszyn, przy których nie siła, lecz giętkość członków posiada pierwszorzędne znaczenie. Następnie spostrzegamy dążność ku równouprawnieniu obu płci w różnych zajęciach. Tak, w Paryżu za okres 1860—1872 ilość kobiet w zecerstwie zwiększyła się o 6%, tapicerstwie i stolarstwie 22%, siodlarstwie i rymarstwie 23%, w zakładach wyrobów metalicznych 52%; liczba zaś mężczyzn, którzy w 1860 stanowili w praln1ctwie 0·6%, pończosznictwie 17·9%, krawiectwie damskiem 1·8%; szwactwie 2·7%; modniarstwie 2·4%, czepkarstwie 8·8; gorseciarstwie 2%, w 1872 odpowiednio wynosiła już 1·4%; 22%; 9·9%; 4·2%; 4·5%; 24%; 8·5%. I zauważmy, iż to zwiększanie uczestnictwa kobiet w pracy pozadomowej i równouprawnianie płci w sferze zarobkowej jest nieodłączną właściwością i zarazem jednym z warunków rozwoju przemysłu tegoczesnego, lubo dla braku miejsca uzasadnić tego twierdzenia nie jesteśmy w stanie. Zdarza się więc, iż w niektórych okręgach przemysłowo-fabrycznych kobieta utrzymuje z zarobku dom, w którym mąż spełnia wszystkie „kobiece“ prace. Dodajmy teraz, iż w rozpatrywanych warstwach nie ma majątku dla spadkobrania i że wszystkie koszta ulegalizowania związku małżeńskiego są bezużyteczne, gdyż potomstwo nie odnosi stąd najmniejszej korzyści, a zrozumiemy rozpowszechniający się w ogniskach miejskich zwyczaj „życia na wiarę,“ ustającego, gdy zbraknie ogniwa sympatyi wzajemnej. Podobne zjawisko emancypacyi kobiecej przedstawiają i warstwy pracujące inteligentne. Dosyć nadmienić, że w Stanach Zjednoczonych kobiety, w porównaniu z mężczyznami, stają się coraz bardziej warstwą „uczoną:“ dwa razy liczniej wstępują i trzy razy liczniej kończą zakłady wyższe naukowe! Ręka w rękę z tem idzie rozszerzanie praw politycznych kobiety; nie chcąc sięgać po przykłady aż za morze, wskażemy choć na ustawę samorządu miejscowego, wprowadzaną obecnie w Anglii. Wobec tego, dozgonna monogamia przekształca się powoli w związek parzysty — przejście umożliwia instytucya rozwodowa, wciąż wzrastająca w sile.

Zobaczmy teraz, czy wyodosobnienie gospodarczo-pedagogiczne grupy rodzinnej posiada trwałą przyszłość przed sobą — jak mniema Spencer. Otóż, co do gospodarstwa domowego, sfera jego wciąż się kurczy. Zamiast teoretycznych wywodów, pozwolimy sobie skreślić życie domowe, które tu i owdzie da się zauważyć w Paryżu i prawdopodobnie w innych większych miastach. Znana nam rodzina składa się z rodziców, posiadających zarobek po za domem, i dwojga dzieci. Przedsiębiorstwo froterów, za niewielką opłatą, dwa razy na tydzień porządkuje mieszkanie; rzeźnik co rana przynosi mięso w zamówionej formie — np. już posiekanych kotletów; to samo czyni przekupień, u którego można dostać nawet obrane kartofle. Urządzenie kuchni ułatwia rozpalenie ognia (podobno w Ameryce tu i owdzie w tym celu są przeprowadzone odpowiednio krany gazowe), różne ekstrakty — przygotowanie zup, maszynki i przyrządy (automatyczne rożny, maszynki do wyjmowania pestek itd.) — sporządzenie obiadu. Magazyny jak Louvre, Printemps wysyłają kupione towary bezpłatnie do domu. Wodociągi. Bieliznę pierze się w pralniach. Służącej się nie trzyma; matka, wracając z zajęć o 4 popołudniu, w godzinę przygotowywa obiad. Dzieci podczas nieobecności rodziców znajdują się w odpowiednim zakładzie. Lubo więc w tym przykładzie odosobnienie gospodarcze rodziny istnieje, pozbawionem jest wszakże wielu u nas nieodłącznych od niego funkcyj. Że nie rozpłynęło się jeszcze bardziej w społecznym podziale pracy np. co do przyrządzania obiadów, tkwi to w ukształtowaniu tegoczesnem stosunków ekonomicznych, czyniących z restauracyj nie zakłady w celu przyrządzania zdrowego jadła, lecz przedsiębiorstwa dla zdobycia największych zysków, chociażby z uszczerbkiem zdrowia konsumentów. Ale i obecnie te instytucye rozpowszechniania katarów żołądka wchłonęły sporą dozę „ogniska domowego.“ W wielkich miastach wychodzi np. z zwyczaju uciążliwy nawyk przyjmowania gości lub wydawania balów w domu. Znamy w Paryżu i Lipsku rodziny, wyznaczające znajomym dnie pewne — w jakimś stałym zakładzie restauracyjnym. Dostają tu zawsze ten sam gabinet, do którego nikt z obcych nie ma wtedy wstępu; każdy znajomy przychodzi i wychodzi kiedy chce, je co i ile życzy, obstalowywa na swój koszt. Od czasu do czasu grona znajome urządzają tańcującą lub inną zabawę w wynajętej sali. Tak np. czesi, bawiący w Lipsku, stanowią „stowarzyszenie Wacława.“ Mężczyźni, kobiety i starsze dzieci zbierają się co sobota w obszernym gabinecie, gdzie stowarzyszenie posiada bibliotekę i swoje papiery; jedni czytają, drudzy grają w karty, inni śpiewają, czasami odczyt urozmaica zabawę. Każdy je lub pije na swój koszt. Kilka razy w roku urządza się maskaradę, tańce, teatr amatorski. Kluby angielskie są podobną instytucyą, lecz ograniczającą się do jednej płci. Obecnie w Anglii powstają zakłady jeszcze z szerszemi funkcyami. W Hyde-parku budują „Hyde-park Count“ — olbrzymi gmach, w którym na dole będą czytelnie, sale gry, restauracya itd. Górne zaś

*) W fabrykach Walii i Anglii pracowało np.

	w r. 1861	w r. 1871	w r. 1881
mężczyzn	202,000	193,000	190,000
kobiet	264,000	286,000	310,000

W morawskiem Bernie są fabryki, gdzie na 200 kobiet pracuje 4 mężczyzn. Zresztą są to fakty ogólnie znane.

piętra pomieszczą 500 lokali dla członków klubu, z wszystkiemi wygodami. Ceny objadów według kosztu; przedsiębiorstwo ma czerpać zyski z lokali. W sumie, życie ma być tu wygodniejszem i tańszem dla nieżonatych mężczyzn, klub bowiem z nich tylko się składa, niż dotychczasowe, pojedyncze. Nawet przy obecnych warunkach ekonomicznych, wymagających określonej stopy zysków, nie widzimy powodu, dlaczego nie miałyby z czasem powstawać podobne kluby dla całych rodzin, z pralniami, froeblowskimi ogródkami itd. Z jednej strony, instytucya *chambres garnies*, z drugiej upowszechniający się zwyczaj u niektórych rodzin stołowania się w restauracyi są jakoby zapowiedzią rodzinnych Hyde-park Count'ów, które zyski swe czerpałyby również z opłaty komornego, stołowanie zaś i pranie dawałyby według cen kosztu i nawet nieco wyżej, lecz nie drożej, niż w własnem prywatnem gospodarstwie.

W każdym razie, społeczny podział pracy wchłania w siebie jedną funkcyę gospodarstwa domowego za drugą. Przekształcanie się gospodarstwa naturalnego na towarowe jest jedynie jedną z form tego uszczuplania zakresu domowego. Dawniej, pieczono chleb w domu; w nim pędzono gorzałkę i piwo, szyto ubranie — dziś czynności te są spełniane przez szczególne gałęzie pozadomowe społecznego podziału pracy—z zyskiem dla wszystkich. Wodociągi obecnie zagarnęły znów jedną z dalszych czynności domowych; przedsiębiorstwa froterów, restauracye, pralnie wtargają na inne pola. Że społeczny podział pracy wchłonie zupełnie pranie, sprzątanie i gotowanie — jest to co najmniej prawdopodobnem w przyszłości, i to nie jako wynik jakiejś idei, lecz płód samego życia ekonomicznego. Zresztą zgadza się to z inną tendencyą chwili — zamieniania mieszkania prywatnego jakby w hotelowe. W Paryżu nowe domy, w mieszkaniach już dwupokojowych, posiadają stałe olbrzymie lustra; tu i owdzie w Petersburgu i w Ameryce opał zimą dokonywa się dla całego domu przez gospodarza za pomocą odpowiedniej budowy kanałów i opłacany bywa w komornem; dla oszczędzenia miejsca wznoszone w Paryżu i New-Yorku budynki mają szafy w ścianach i marmurowe stoliki, wprawione w murze; spotykamy jeszcze kurki gazowe w przedpokoju i nawet w pokojach, ogólne pralnie w piwnicach itd. Mieszkanie przybiera pozór hotelowego *).

*) W liczbie różnych instytucyj, rozkładających, jak owe lustra paryzkie, gospodarstwo i własność rodzinną, wspomnieć należy o bibliotekach. U nas kto chce korzystać z ruchu umysłowego, musi zakładać własną bibliotekę. Czytelnie są zbyt nieliczne i stosunkowo drogie. Inaczej za granicą. Tak, w każdem merostwie Paryża istnieje czytelnia bezpłatna, połączona z małym zbiorem okazów mineralogicznych, tablic zoologicznych itd. (mówimy o tem, cośmy widzieli w okręgu Montparnasse w Paryżu), oraz wypożyczalnię bezpłatną książek — poważnych i beletrystycznych — do domów. I wszystko z minimum formalności. Prócz tych, są inne bezpłatne czytelnie czasopism, jak w gmachu Św. Genowefy, że już nie mówimy o bibliotece narodowej, gdzie wstęp jest utrudniony. Kupno książek staje się tam dla człowieka prywatnego nieprodukcyjnem wyrzucaniem pieniędzy.

WYNALAZKI.

Z elektrotechniki. W elektrotechnice zanotować nam przychodzi nowy wynalazek Edisona, zwany przezeń *rodnikiem pyromagnetycznym*. Zasada jego prosta; jeżeli obwiniemy żelazo magnetyczne drutem, to ono wywoła w nim bezzwłocznie prąd elektryczny. Tego rodzaju zmiany w stanie magnetycznym żelaza powstają przeważnie w skutek modyfikacyj zachodzących w temperaturze obwiniętego drutem żelaza. Jeżeli żelazo jest dętem, magnetyzm jego będzie słabszym; jeżeli przebiega przez nie gorący płomień, magnetyzm wzrasta zaraz po jego przebiegu. Otóż Edison ustawił w koło pionowo seryę rur żelaznych drutem obwiniętych pomiędzy biegunami elektromagnesów, w skutek czego stały się one magnetycznemi, i wprowadzał płomień ogniska pomieszczonego pod temi rurami, naprzemian w te rury za pomocą obrotu tarczy półkolistej, poruszającej się poziomo pomiędzy ogniskiem a rurami magnetycznemi.

Powstający w ten sposób prąd elektryczny w drutach, zbierał on za pomocą przyrządu znajdującego się na osi pionowej obracającej się tarczy. Prąd pozyskany w ten sposób może służyć do najrozmaitszych użytków, np. do zasilania lamp elektrycznych. Przyrząd, jak to sam wynalazca przyznaje, nie jest jeszcze doskonałym, ale genialny jego twórca ulepszy go w krótkim czasie niewątpliwie, i odda do użytku przemysłu wyborną machinę elektryczną.

Drugim wynalazkiem Edisona jest zmiana, jakiej dokonał w budowie dynamomachin elektromagnetycznych, zasadzająca się na tem, że dla osłabienia oporu magnetycznego i pozyskania większej siły w prądach stałych, ramy elektromagnetyczne i osady biegunów odlewa on z jednej sztuki wraz z podstawą i łożyskiem osi.

Inne zmiany w budowie tych machin zasadzają się na obwijaniu drutem tarcz obrotowych i odpowiedniem rozstawieniu szczotek prąd przyjmujących. I tak szczotki dostarczane przez fabrykę elektrotechniczną w Kunstadt do oświetlania pociągów na drodze żelaznej między Stutgartem a Hall, przesuwają się automatycznie, aby przy zmieniającym się obrocie osi w skutek zmienionego kierunku w ruchu pociągu, dawały w każdym czasie prąd właściwy. W wytwarzaniu prądu elektrycznego przez elementy galwaniczne, znajdujemy niemniej znaczące udoskonalenie.

Jakkolwiek machiny dynamo-elektryczne ograniczyły sferę działania ognisk galwanicznych, to jednak te ostatnie w pewnych razach, zwłaszcza dziś przy udoskonalonej ich konstrukcyi przez Edisona, oddawać będą rzeczywiste usługi.

Niestrudzonemu pracownikowi na polu aerostatyki, Renardowi, który nadał ster balonom z szybkością $6\frac{1}{4}$ metrów w minucie, zawdzięczamy nowe bateryę galwaniczne, za pomocą których wytwarza on prąd elektryczny odpowiedniej siły. Zadaniem jego było osiągnienie jak największej siły przy najmniejszem obciążeniu balonu— i to w zupełności rozwiązał. Baterya jego ważąca 480 kilogramów, wytwarzała pracę 10 koni parowych, w ciągu 2 godzin, a zatem pracę jednego konia w godzinie przy wadze 24 kilogramów. Jest to ciężar bardzo mały w stosunku do pozyskanego rezultatu. Ogniwa, których setki w jedną bateryę Renard połączył, składają się zwykle ze srebra obłożonego platyną, roztworzonego w kwasie chromnym i solnym. Sztabka cynku nieamalgamowanego pomieszczona w cylindrze z blachy srebrnej grubości 1 milimetra, której powłoka platynowa przedstawia grubość 1.04 milimetrów, oraz kubek szklanny lub z twardego kauczuku, wysokości przewyższającej 10 razy średnicę, otacza każde ogniwo. Każde sześć ogniw obok siebie pomieszczonych, daje prąd siły 120 amperów, przy natężeniu 1·2 Wolty.

Na posiedzeniu Towarzystwa Fizycznego w Paryżu, zasilano takiemi ogniwami rozmaitej wielkości lampy elektryczne, łukowe itp. Trzydzieści sześć ogniw pomieszczonych w kubkach kauczukowych średnicy 2 centymetrów, wagi ogółowej 6 kilogramów, wytwarzało światło łukowe w ciągu godziny dochodzące w blasku sile 200 świec przeszło.

Baterya Upwarda zamiast kwasu użytkuje z chloru, który stale przepływa przez ogniwa cynko-węglowe. Znajdzie ona niewątpliwie szerokie zastosowanie w oświetlaniu domów i pomieszkań. Nie mniejszą praktycznością zalecają się ogniwa Nenna, zbliżone do tego systemu, i odznaczające się taniością.

Zaznaczyć też winniśmy znakomite udoskonalenie w konstrukcyi bateryj, akumulatorów i zbiorników prądu elektrycznego. Te ostatnie zbierają strumień elektryczny i przesyłają go z możliwie małą stratą. Składają się one po większej części z płat ołowianych i z oksydowanego ołowiu w roztworze kwaśnym, przyczem obadwa elektrody zmieniają swe role, tworząc w jednym końcu elektrodu na placie oksydowany ołów, a w drugim końcu elektrodu redukując tlenek ołowiu na ołów. Nie są wszakże one trwałemi, i dlatego koszt ich odnawiania jest dość znaczny.

Dun we Frankfurcie nad Menem pozyskał patent na bateryę podwójnego pomysłu, systemu dość skomplikowanego, która ma się zalecać niepospolitą trwałością.

Rezultat wszakże odbytych doświadczeń z tą bateryą jeszcze nie jest wiadomym. Głównym jej zadaniem będzie oświetlanie pomieszkań. Używane dotąd w tym celu światło z dynamomachin nie okazało się praktycznem.

Udoskonalanie konstrukcyi akumulatorów jest sprawą wielce ważną, od niej bowiem zależy urządzenie praktyczne pociągów elektrycznych na drogach żelaznych, ich oświetlenie i zastąpienie elektrycznością ruchu tramwajowego w miastach. Oświetlanie elektrycznością ulic w większych miastach rozpowszechnia się coraz więcej. Obydwie centralne stacye przy ulicach Maurer-Strasse i Markgrafen-Strasse w Berlinie, posiadają parowe machiny o sile 4,500 koni parowych, dające 40,000 świateł. Większe też miasta niemieckie mają być zaopatrzone w światła elektryczne. Największym wszelako zakładem w Europie dostarczającym oświetlenia elektrycznego są niewątpliwie firmy Siemensa i Halskiego w pałacu zimowym w Petersburgu. Wydaje on 12,000 świateł żarowych i 56 łukowych, a zasila go 8 machin parowych o sile 2,500 koni i 26 dynamomachin. Paryż natomiast posiada obecnie tylko 4 stacye centralne do oświetlania elektrycznego. Ameryka i na tem polu przoduje. W Filadelfii stowarzyszenie Edisona założyło centralną stacyę, godną zaiste opisu. Ponieważ place tamtejsze i wogóle ziemia jest bardzo drogą, wzniesiono sześciopiętrowy dom do wysokości 34 metrów. W Suterenach pomieszczono 20 machin parowych każda o sile 250 koni, dająca 200 obrotów na minutę, systemu Armingtona i Simsa. Na pierwszem piętrze pomieszczono 40 dynamomachin, każda o 15,000 płomieniach z 600 obrotami na minutę, czyli że wszystkie wytwarzają światło wyrównywające blaskowi 60,000 świec. Na drugiem piętrze znajdują się warsztaty, na trzeciem kotły parowe, na czwartem okruchy węgla, na piątem biura. Oprócz tego zakładu jest jeszcze drugi o sile 300 koni, z których każdy zaopatrzonym jest w dynamomachinę, wszystkie zaś zbiorniki są z sobą złączone. Zamierzają z czasem przenieść większą część tej siły za pomocą turbinów w bieg wprowadzonych przy współdziałaniu wody ze studni artezyjskiej przed hotelem „Ponce de Leon" dającej wytrysk gruby na 30 centymetrów, a 10 metrów dosięgający wysokości.

Elektrycznem oświetlaniem dróg żelaznych zaczynają dziś na seryo zajmować się w Europie. Można je urządzić w brankardzie za pomocą ustawionej dynamomachiny obracanej za pośrednictwem osi wagonu, jak to ma miejsce na wielu drogach żelaznych niemieckich, lub też użytkować ze zbiornika elektrycznego naładowanego na jednej z głównych stacyj i rozprowadzanego na inne, które to urządzenie znajdujemy na drodze Albańsko-Bostońskiej; wreszcie dokonać by tego można przez skombinowanie obu tych systemów.

Przenoszenie siły elektrycznej na wielkie odległości nie jest zadaniem łatwem, mimo to dokonano tego z wybornym rezultatem we Francyi, Belgii i Szwajcaryi. W Solotnrn siłę wody, dochodzącą 50 koni, przeniesiono na odległość 8,000 metrów. Tramwaje elektryczne zbudowano w ostatnich czasach w Nowym-Yorku; prąd elektryczny nie przechodzi przez szyny, lecz pomiędzy dwoma miedzianymi kołkami. Aby uniknąć niebezpieczeństwa zagrażającego zwierzętom przebiegającym przez szyny, powierzchnia ich w tych miejscach jest zupełnie spadzistą a końce szyn łączy podziemie. Urządzeniem tem zajmowała się znana firma Siemensa i Halskiego.

Zanotować też nam wypada dwa ciekawe zastosowania elektryczności w magnetyzmie. Eliasz Tompson wykrył, że prądy elektryczne wielkiej siły, posługują doskonale do szwejsowania rozmaitych metalów. Procedura jest tu bardzo prostą; dość jest zbliżyć do siebie dwa kawałki metalowe i przepuścić przez nie strumień elektryczny. Nietylko stal i żelazo ale i inne najtwardsze metale mogą być w ten sposób szwejsowane, jak naprzykład platyna, miedź, cyna, itp.

Drugim wynalazkiem jest winda elektro-magnetyczna. Dla wytworzenia jej dostatecznem jest przymocować do zwyczajnej windy elektromagnes odpowiedniej siły, który ciężkie bryły żelaza unosi i przeprowadza je na miejsce przeznaczenia. W jednej fabryce stali w Ameryce winda taka spełnia z wielką łatwością pracę odpowiadającą sile piętnastu ludzi.

W. N.

LITERATURA I SZTUKA.

SEKTA ESTETYCZNA.

I.

„Co to za zgiełk na Radosie — wszystkie ulice pełne narodu?"

Co to za zgiełk w Warszawie—w jej prasie wre, jakby w ulu?

Czyżby rycerz jaki zdusił smoka, postrach całej okolicy, morderce dzieci i niewiast?

O nie — stało się coś ważniejszego jeszcze. Otrzymała chrzest nowa teorya piękna i sztuki. Firmament estetyki po Koperniku, Keplerze i Galileuszu doczekał się swego Newtona.

Zanim jednak wzniesiemy im pomniki „trwalsze od bronzu i wytrzymałe na wszystkożerczy deszcz" — przypatrzmy się epokowemu odkryciu, które niedawno obwieszczono powtórnie globowi ziemskiemu za pomocą trąby archanielskiej, w języku potocznym zwanej „kroniką Prusa."

„Idee" trzeba zostawić literaturze, bo *tylko ona* ma możność przedstawiania ich. Malarstwo zaś niech się kontentuje *światłem* i niech nie myśli o wykładzie historyi lub teologii, ale o sztuce użyciu farb, ażeby wywołały największy efekt optyczny."

„Jeżeli jakaś szkoła może u nas posunąć naprzód malarstwo, to z pewnością nie „historyczna," czy „rodzajowa," czy tam realistyczna, ale ta, która nauczy malarzy kochać i przedstawiać *światło*."

„Bo czem, pytam się — jako temat dla obrazu — lepsza jest apoteoza Napoleona, od krów na pastwisku."

„Tak zwane malarstwo historyczne urodziło się z pochlebstwa możnym rodom, lub możnym partyom."

„Jeżeli coś jest w obrazach historycznych, co wykracza po za granice sympatyj narodowych, to tylko owa technika, owa umiejętność malowania nie tematów, nie „idei," ale światła."

Przesądem jest jakoby genialne pomysły wyskakiwały z mózgownic nagle—niby Minerwa z głowy gromowładnego Jowisza. Powstają one raczej z niedojrzanych zalążków, rosną powoli, dojrzewają i odżywiają się kosztem całożyciowego nieraz spokoju twórcy, kosztem jego wesela i snu. Tłumy widzą dzieło ukształtowane, skończone i całej owej pracy ducha, owego *in dolore paries* nie przeczuwają.

Nie mniej przeto mają pomysły swój mozolny, męczący rozwój. Kolumb trawił się i wewnętrznie i żuł długo głuche pogłoski islandzkich rybaków o jakimś Nowym Świecie, system Kopernikowy. poczęty został jeszcze przez Arystarcha na 280 przed Chrystusem, a parowa maszyna puszczona w ruch przez Herona już na 215 lat przed Chrystusem.

A więc i powyższa teorya sztuki a malarstwa w szczególności kiełkowała już oddawna i przy każdej sposobności wystawienia głośniejszego płótna wychodziła na jaw. Już przed laty kilkoma p. Witkiewicz, wspierany od czasu do czasu przez asystenta swego, p. Sygietyńskiego, zaczął magnetyzować czytający ogół glinianą kulą, oblepioną srebrnym papierem, przekonany, że zawiesił na niebie nową planetę, a teraz Prus, olśniony i oślepiony światłem, które ledwo czyje tam powieki zmrużyło, podjął eksperymenta na nowo, uzupełnił je śmiałą dedukcyą i wyłożył z żarem i wymową, które nawet u niego należą do rzadkości.

Bolesław Prus całkiem inną dźwiga odpowiedzialność za swe estetyczne kapłaństwo, niż wrzący Achillesi, których sławę i zbroje opiewa. Jemu przeto zadedykujmy pierwsze pokłony czci i podzięki za „polską szkołę malarstwa i sztuki."

Do p. Witkiewicza, Kopernika kierunku, łagodnego w pędzlu, ale rozmachanego w piórze, ośmielimy się przystąpić nieco później.

Zachodzi atoli jedna maleńka różnica. Każdy z odkrywców wielkich prawd nie ogranicza się olśniewającym ich efektem i własnem zadowoleniem, ale stara się je wytłomaczyć ludzkości; nie żąda nigdy przyjęcia na wiarę tego, co rozsypuje w proch zdawna zakorzenione pewniki, lecz zbroi się w dowody i argumenty takiej ilości i takiej siły, ażeby mogły zwycięzko odpowiedzieć na wszelkie: *dlaczego*? Nieznane usiłuje objaśnić przez znane; świeżo upieczoną tezę sprowadzić szeregiem przesłanek do praw już zbadanych, albo do pojęć ogólniejszych, bardziej pochwytnych i przekonywających.

Ale przedewszystkiem każdy dogmat *o duchu ludzkim* musi mieć taką podstawę ogólną, filozoficzną. Jeżeli zacznę upewniać, że „wszyscy ludzie są złodziejami" — osiągnę ten jedynie rezultat, że mię wezmą, i bodaj słusznie, za waryata, chyba że poprę swą filipikę rozbiorem charakteru ogromnej liczby jednostek, że wyłowię z dusz śmiertelnych pewne właściwości, mniej dziko brzmiące, i umocnię niezachwianie przyczynowy związek między niemi a upatrzonem przeze mnie twierdzeniem o powszechnem złodziejstwie.

Takie idee, jak: *piękno*, *sztuka*, *rozkosz estetyczna* określają pewne stany lub wytwory ducha naszego, jeżeli więc ośmielamy się rzucać na nie nowe światło, musimy stanąć na gruncie psychologii, etyki, czy fizyologii, ale bądź co bądź na gruncie wiedzy o człowieku i jego cechach, ale nigdy w ciasnem kółku osobistych zachceń i przywidzeń.

Tylko bogom wolno dyktować przykazania z zupełnem przemilczeniem wszystkich *dlaczego*? Bolesław Prus idzie za przykładem bogów, ale że przykład jest wielce zaraźliwy, więc i ja mógłbym zasłabnąć na manię stwarzania bezpodstawowych, *wiszących w powietrzu* — jak mówią niemcy — twierdzeń. Mógłbym np. orzec:

„Węgiel jest na Saturnie najcenniejszym kruszcem," albo:

Nie ręczę czy wspaniałość tych objawień nie wywołałaby okrzyku podziwu i uwielbienia, ale nie wątpię też, że pewna liczba osób, obdarzonych prostym, zdrowym rozsądkiem, zapytałaby nieśmiało:

Dlaczego?

Taka *petitio principii*, żądanie podstawy, jako potrzeba filozoficzna nie cieszy się śród estetyków-realistów kredytem. Goncourtowie drwią jawnie z filozofii i za plecami Taine'a pokazują mu języki. Dla całej tej generacyi psychologia teoretyczna i wszelka wogóle filozofia jest to—jak się wyrażają przesiąknięci paryzką mądrością — kiszka, którą można zapełnić, czem kto chce. Domyślam się, że Kopernik, Kepler i Galileusz naszej estetyki, czyli pp. Witkiewicz, Gierymski i Sygietyński powtarzają również za francuzami: *C., pour le jugement, rien que du goût, absolument du goût!*

Ale Bolesław Prus nie jest malarzem, tak jak kompozytor lub estetyk muzyczny nie jest... tenorem: jemu nie wolno hołdować logice sekty i upatrywać szczytu chwały i świadomego siebie rozumu w bezmyślnem klepaniu zamkniętej formuły: „Sztuka jest naśladowaniem rzeczywistości, sztuka jest naśladowaniem rzeczywistości" itd. To są pacierze zwyrodniałego buddyzmu, którego kapłani kilka godzin z rzędu skaczą przez kloc, przekonani, że wielki Budda za każdy skok daje im złotą kreskę.

Ciekawa rzecz, czem jest gorszy dogmat dawnych artystów: „Sztuka jest *idealizowaniem* rzeczywistości"? Jest on nawet lepszy, bo zawsze towarzyszy mu pewne stałe usprawiedliwienie: „życie realne, to pasmo cierpień, sztuka winna nas przenosić w krainę rozkoszy." Taki wywód ma przynajmniej za podwalinę jeden z granitowych pewników psychologii, że człowiek dąży do szczęścia, jak roślina zwraca się ku słońcu. Realiści zaś polscy uważają swoją szkołę za tak potężną i doskonałą, że wszelkie obwarowywanie jej poczytują snać za pracę zbyteczną. Niechaj rzucą okiem w dal po za ściany swych pracowni lub gabinetów literackich, a doznają niemiłego zdziwienia, że odsłonili swój kierunek na bardzo trafne pociski bieżącej, znudzonej epoki, śród których jeden jest zabójczym: „Rzeczywistość i tak nudna, po co jeszcze malarstwem zwiększać liczbę jej egzemplarzy?" Jakby na to odpowiedział Bolesław Prus?

Ale nie chciałbym zostać posądzonym o uczucie wrogie lub choćby tylko letnie dla realizmu. Przeciwnie, jeżeli sąd mój obchodzić może kogokolwiek, powiem, że czczę realizm żarliwie i gorąco, a ze mną kto wie, czy nie większość grupujących się dokoła *Prawdy*. Flaubert, Goncourtowie, Zola, Bourget, całe malarstwo współczesne, reprezentowane przez takich, jak Meissonnier, Carolus Duran, Bouguerau, Benjamin Constant, Giron, Munkaczy, Payer, Chełmoński, Gierymski, Witkiewicz, Wereszczagin lub Makowski, liczących się sumiennie z wymaganiami naturalistycznej prawdy — to dla mnie rzetelni mistrze wieku, ale doprawdy nie wierzę, ażeby którykolwiek z nich miał tyle sekciarskich porywów, co zbawiciele naszego malarstwa.

Co do powieściopisarzy, którym w drodze łaski i szczególnego ustępstwa Prus przyznaje pewne prawo do idei — to wiemy na szczęście wszyscy, jeno lubimy zapominać, że i Zola, i Guy de Maupassant, i Préval, i Bourget, mają swoje rozumne teorye piękna, pełne *zasad filozoficznych* i że żaden nie czuje się zawczasu zwolnionym od obowiązku przenikania w ogólne dane estetyki. I ta właśnie ich wyższość uświadomiła im już cały absurd fanatycznego ubóstwiania artykułów ślepej wiary i poniekąd zrodziła reakcyę.

Nawet tacy genialni wirtuozi perspektywy i plastyki, jak bracia Goncourt, na pozór urągający wszelkiej dowolności w sztuce i kompozycyi, nawet oni, dla których filozoficzne oderwania są oderwaniami od zdrowych zmysłów, nie mają odwagi ujmować idei piękna w zastygły jakiś, a co więcej, nieugruntowany kanon.

„Katuszą człowieka inteligentnego — mówią oni — jest gonić za Pięknem, a nie mieć nigdy stałej i pewnej świadomości Piękna."

Bo też wytrawni estetycy są ludźmi roztropnymi i wiedzą dobrze, że zrobić bożyszcze z ciasnej maksymy, jest to ośmieszyć wszystkich, którzy do niej nie pasują, a w przyszłości, gdy inna formułka zapanuje, ośmieszyć i siebie. W dosadnym języku naszych augurów, wszystko co *było*, jest „idyotyczne." Zgoda, ale dla estetyków XX stulecia również wszystko *minione* będzie idyotycznem. Doprawdy, podziwiam męztwo i zaparcie się, z jakiemi niektórzy gorliwcy pracują nad probierzem, który,

gdyby miał rządzić znawstwem artystycznem, przedewszystkiem ich samych strąciłby do motłochu... krótkowidzów—w najlepszym razie.

Przewyborna perspektywa *Piaskarzów*, *Trąbek* Gierymskiego, *Brzegu morskiego* i rysunków tatrzańskich Witkiewicza, nie przeszkadza bynajmniej tym utalentowanym wysoce przewodnikom Prusa po skalistych halach estetyki cierpieć wraz z nim na... bałwochwalstwo.

A przecież po znakomitym fabrykancie *Lalki* możnaby się spodziewać widnokręgów nieco szerszych. Jeden z przyjaciół jego tłomaczył mi niegdyś, że dziwną logiczność swego języka fejletonowego, niepowszednia jego ciągłość, która sprawia, że myśl wysnuwa się z myśli jak przędziwo, zawdzięcza Prus — Spencerowi. Czyżby? Gdyby tak było, myśliciel angielski z ucznia swego, jako filozofa, pociechę by miał niewielką. Spencer przygotowuje się całym *Systemem filozofii syntetycznej*, tj. kilkunastoma grubemi książkami, do jednego maluczkiego zdania: „Moralnem jest to, co sprzyja powszechnej szczęśliwości“ i sam się do tego przyznaje. Prus pragnie zreformować inną, niemniej doniosłą dziedzinę *praktyczną* i na jakich faktach się wspiera? Na rozumowaniu... malarzów; nie, za wiele powiedziałem, na „widzi mi się“ *dwóch* malarzów.

Protest zdrowej logiki przeciw takim na nią zamachom nie miałby racyi bytu, gdyby nie ich szkodliwość dla ogółu bez wyższego wykształcenia. Umysły samoistne prawdopodobnie nie ucierpią, ale szara masa chwyta łakomie i za szczero złoto bierze wszystko, co wychodzi z pod pióra ludzi tak uposażonych, jak Prus i jego współodkrywcy. Takim, co, jak Głowacki, zdobyli sobie w literaturze i kierownictwie opinią — mitrę książęcą, wypadałoby skrupulatniej liczyć się ze słowami. Głos, wychodzący z pod tronowego baldachimu, przenika daleko, a gdy mu brak jasności powagi — sieje dokoła zamęt i wprowadza w błąd.

Cezary Jellenta.

KRASZEWSKI,

jako „płytki sangwinik czystej wody“ (!!!?).

Podług Hobbesa: „imię jest to wyraz, którego używamy dowolnie za znak, mogący obudzić w naszym umyśle pojęcie, jakie już mieliśmy uprzednio i ktory, wyrzeczony do innych, mógłby dla nich być również znakiem pojęcia, jakieśmy mieli przed chwilą.“

Skoro takie jest przeznaczenie wyrazów, rzecz więc prosta, że zanim użyjemy którégokolwiek z nich, powinniśmy się dobrze zastanowić, jakie jest jego znaczenie powszechne. Na wypadek zaś, gdyby nie miał ściśle określonego znaczenia, co nierzadko zdarza się z naukowymi terminami, powinniśmy uprzedzić o tem czytelnika i dać mu poznać wyraźnie, w jakiem rozumieniu my go używamy i co on przezeń ma pojmować. Tymczasem o tym głównym warunku porozumiewania się z czytelnikami bardzo często zapominamy. Zdawać by się mogło, że podzielamy błędne przekonanie starożytnych, którzy wierzyli, że wyrazy posiadają w sobie moc cudowną wytwarzania w umyśle odpowiednich im pojęć nawet w takim razie, gdy one w nim nigdy przedtem nie powstały. Używamy wyrazów nietylko w innem znaczeniu, niż inni, ale co więcej, używamy nieraz takich, które ściśle biorąc, albo nie mają żadnego znaczenia, albo bywają najrozmaiciej pojmowane i tłomaczone. Zajęci wypowiedzeniem swej myśli, zapominamy o czytelniku i nie zwracamy uwagi na to, że jeżeli dla nas samych jakiś wyraz dokładnie rzecz przedstawia, to dla innych może on być zagadką nie do rozwiązania.

Jeden ze zdolniejszych naszych krytyków, oceniając dzieło p. Chmielowskiego o Kraszewskim, czyni mu zarzut, że niedostatecznie wyjaśnił przyczynę wszystkich właściwości zmarłego niedawno pisarza. Chcąc uzupełnić powyższą niedokładność, utrzymuje, że źródłem wszystkich właściwości charakteru Kraszewskiego była nie nadzwyczajna wrażliwość jego, jak to powiada p. Chmielowski, ale jego temperament sangwiniczny. Kraszewski, dodaje on, był *płytkim sangwinikiem* najczystszej wody. Otóż zapytuję, nie już zwykłych śmiertelników, ale ludzi obeznanych z fizyologią i psychologią, czy wyrazy: „płytki sangwinik“ budzą w ich umyśle jakieś pojęcie już nie ściśle określone, ale jakiekolwiek, któreby zdolne było wyjaśnić zagadkę charakteru Kraszewskiego? Wyraz „wrażliwość“ daje nam pewne pojęcie o rzeczy, tłomaczy nam mniej lub więcej wyraźnie brak odporności na zewnętrzne wpływy, łatwe im poddawanie się i szybkie przechodzenie od jednych przekonań do drugich, chociażby zgoła tamtym przeciwnych. Takie jest przynajmniej powszechne rozumienie tego, co nazywamy wrażliwością. Cóż oznacza sangwinizm, a do tego płytki? Nastręcza on mnóstwo pytań, ale na żadne z nich nie daje odpowiedzi. Najprzód co to jest temperament wogóle; powtóre, jaką jego postać oznacza sangwinizm; po trzecie, czy przymiotnik „płytki“ stosuje się wogóle do temperamentu sangwinistycznego, czy tylko do pewnego jego gatunku; po czwarte, czy w tem znaczeniu, jakie kiedyś przywiązywano do wyrazu „sangwinik,“ można go z pewną słusznością użyć w odniesieniu do osoby Kraszewskiego? Oto pytania, jakie w nas budzi wyraz: płytki sangwinik. Zastanówmy się nad niemi.

Co do znaczenia temperamentu wogóle, to pod tym względem różne są zapatrywania. Niektórzy biorą go za jedno z charakterem i pojmują przezeń indywidualne różnice, zachodzące między ludźmi pod względem rozumu, uczucia i woli; inni ograniczają znaczenie jego do właściwości, wypływających ze sposobu odczuwania wrażeń zewnętrznych i oddziaływania na nie, pomijając różnice rozumowe, które podług nich nie wywierają żadnego wpływu na postępowanie, stanowiące istotny objaw życia ludzkiego. Ci zaś, którzy odróżniają temperament od charakteru, widzą w nim właściwości indywidualne przyrodzone, usposobienia i skłonności, mające swą podstawę w fizycznej organizacyi osobnika; przez charakter zaś rozumieją te cechy umysłowe, które są nabyte własnem doświadczeniem.

Bądź co bądź, jakkolwiek znaczenie temperamentu nie jest jeszcze ustalonem i określonem ściśle, możemy przecież zdać sobie z niego jakąkolwiek sprawę. Inaczej ma się rzecz ze szczególnymi przejawami temperamentu, znanymi pod nazwą sangwinicznego, flegmatycznego, melancholijnego i żółciowego.

Powyższa klasyfikacya, sięgająca swym początkiem bardzo daleko w przeszłość, cieszyła się do niedawna powszechnem uznaniem. Obecnie zarzucono ją, jako niezgodną z najnowszemi badaniami fizyologicznemi i psychologicznemi. Są wprawdzie próby wskrzeszenia jej zapomocą nowego jej uzasadnienia. Najdowcipniejszą i najbardziej racyonalną jest ta, której się podjął sławny anatom Henle. Wszystkie te atoli usiłowania chromają w tem, że są oparte na wywodach czysto apriorycznych. Tu jedna tylko obserwacya zdolna jest wykazać, jakie są istotne cechy i czy są takie, któreby dozwoliły różnice indywidualne między ludźmi sprowadzić do kilku typów. Otóż, jak dotąd, badania w tym kierunku jeszcze się nie rozpoczęły i póki nie będzie zebrany dostateczny materyał faktyczny, ażeby na nim oprzeć było można jakąś pewną teoryę temperamentu, póty wszystkie określenia, zapomocą których starano się scharakteryzować tak pod względem fizyologicznym, jak i psychicznym, znane cztery typy temperamentu, muszą być uważane za wytwór czysto fantastyczny. Zresztą najlepszym dowodem bezpodstawności jest ich praktyczna bezużyteczność. Dotąd ani medycyna, ani pedagogika nie potrafiły wyciągnąć z nich jakiejkolwiek korzyści — i po kilku nieudatnych próbach zaniedbały ich zupełnie. Nawet w codziennej praktyce nikt się niemi już nie posługuje — i kto chce dać poznać człowieka ze strony naturalnych jego usposobień, woli uciec się w tym razie do omówień, chociażby długich, niżeli posługiwać się takiemi wyrażeniami, jak: sangwinik, choleryk itd., które nie przywodzą na myśl żadnego dokładnego pojęcia i wtrącają ją w zamęt domysłów, jakich tylko bujna fantazya dostarczyć może.

Przypuśćmy jednakże na chwilę, że klasyczna teorya temperamentów jest prawdziwa — czy można na jej podstawie zaliczyć Kraszewskiego do sangwiników?

Podług tej teoryi, sangwinik ma być normalnym typem natury ludzkiej. Człowiek tego temperamentu odznacza się głównie tem, że wszystkie sprawy żywotne odbywają się w nim prawidłowo. Stąd zdrowiu ciała odpowiada swieżość umysłu, dobry humor i zadowolenie z siebie i ze świata. Otóż, kto znał Kraszewskiego osobiście, kto się wczytywał w jego dzieła, ten musi przyznać, że tak pod względem fizycznym, jak i moralnym, stanowił on najżywszy kontrast z powyższym obrazem. Dość tu wskazać, że charakterystyczną cechą wszystkich jego utworów, od najwcześniejszej aż do najpóźniejszej doby jego zawodu, był pesymizm, Pesymizm jego nie był ani wyrozumowanym, ani zapożyczanym, wypływał on z naturalnego jego usposobienia i z warunków społecznego bytu. Jakoż ile razy próbował napisać coś w duchu odmiennym, z charakterem bardziej pogodnym, tyle razy napisał rzecz słabą i nieudolną pod względem artystycznym, jak tego przykład mamy na *Bożej czeladce*.

Jeżeli nie można powiedzieć o Kraszewskim, że był sangwinikiem, to tem mniej, że był płytkim. Nie był on ani uczonym, ani filozofem, ale jako powieściopisarz górował nad wieloma tak nauką, jak pojmowaniem najgłówniejszych zadań życia ludzkiego. Znana powszechnie zmienność jego w zapatrywaniach na pewne kwestye nie upoważnia jeszcze do oskarżania go o płytkość. Zmieniał on swe zapatrywania, ale zmieniał w tem, co nie stanowiło istotnych zadań życia narodowego. Idąc zawsze z narodem, podzielał jego błędy i cnoty, nie wysuwał się zbyt naprzód, ale też nie pozostawał w tyle. Ze wstecznikami nie kokietował nigdy — a żywą miał sympatyę dla postępu, pomimo że nie zawsze umiał odgadnąć właściwe jego pierwiastki. Nie zamykał się, jak ostryga, w jakiejś zaskorupiałej doktrynie, lecz ulegając zmianom czasu, sam się zmieniał, jak zmieniało się zresztą społeczeństwo, którego on zawsze żywym był członkiem*).

Władysław Kozłowski.

---

*) Gdybyśmy takiej ścisłej analizy dokonali w liczniejszych wypadkach, przekonalibyśmy się, ile to bezmyślnych sądów, nieraz opieczętowanych wielką powagą, krąży w literaturze, nie budząc podejrzenia, że niczego nie wyrażają. *Red.*

POEZYA.

JAROSŁAW VRCHLICKY.

PERSPEKTYWY.

I.

Attis i Kybela.

. . . .

Podziemie w świątyni Mitry. Dźwięki trąb i cymbałów. W przestankach odzywają się głosy kapłanów.

. . . .

Hierofant.

O wy, co światła jesteście spragnieni,
Oto wam jego otwarte są zdroje,
Oto z wód świętych pić wam dzisiaj dano.
Lecz posłuchajcie, nim święte obrzędy
Pojmą was w kręgi wieczystych tajemnic,
Świętego mytu o wielkiej Kybeli.

Zbór.

Jak nęci czasza, którą nam podajesz?

Hierofant.

W one dni stare, w posiwiałe czasy,
Gdy góry światem chodziły dokoła,
Gdy wielkie lasy dźwigały się z bagnisk
Ku dnia światłości koroną olbrzymów,
A mokre jeszcze po swojem zrodzeniu
Lądy się trzęsły w objęciu wszechświata,
Jak kołysane dziecko, w ten pradawny
Czas, kiedy ziemia, niedotknięta winą,
Jak kwiat lotusu czystością jaśniała,
Bogowie radzi w odwiedziny błogie
Ją wolywali do obłocznych wyżyn,
I radzi na nią mieszkiwać schodzili.

. . . .

Głos kapłana.

O, rychlej serca oczyśćcie od zmazy
Niech nie lgnie do niej żadnej winy cień,
Gdyż uczynione są zaś rzeczy wielkie,
Których pojęcie zakryte śmiertelnym!

Zbór.

Sługa ja boży, zbożnie słucham cię!

Hierofant.

Wonczas Kybela, matka wszystkich bogów,
Chwalebna, mocna, i światłem wschodząca,
Ziemię nawiedzić szła, litością zdjęta
Ku tej ubogiej, która, jak łupina
W sieci się światów tam, to sam, miotała.
Ród bogów mocnych i szerokowładnych,
Bogini snadź już poczuła w swych żyłach,
I szła szukając, gdzieby się wypełnić
Mogły najświętsze wcieleń tajemnice.

Zbór.

O, bądź na wieki nam błogosławiona!

Hierofant.

W dni te, nad rzeką Gall, żył Attis, pasterz,
Młodzian przecudny, co nie znał rozkoszy.
A była jemu Kybela najpierwszą,
Ku której ogniem miłości rozgorzał.
Kochał ją tedy, a święta bogini
Dała mu wszystko, co tylko śmiertelny
Znieść może duchem słabym a bezmocnym.

Zbór.

Jak dziwnie w duszę wnika mi ta powieść?

Hierofant.

Wszystko mu dała: rozkwieconą ziemię,
Głos śpiewnych ptaków dyszący rozkoszą,
I lasów hymny o słońca zachodzie.
A kiedy zmierzchy opadły nad ziemię
I nad moczary, i milczące góry,
Na gwiazdy palcem skinęła tworzącym,
A gwiazdy z niebios zstąpiły zwycięzko,
I utworzywszy płomienną koronę,
Wokół mu głowy pałały noc całą.
A łuna od nich biła tak ogromna,
Że stary ojciec, Okeanos siwy
Zbudził się ze snu i pytał z podziwem,
Kto mu róż jasnych nasuł w mokre łoże?
A więcej święta Kybela nie chciała
Mieć za tę miłość, jakiej snadź nie było
I już nie będzie, aż po koniec świata,
Jeno maluczką rzecz: wierność Attisa.

Zbór.

O łasko bogów, jakże pojmę ciebie!

Hierofant.

Ale ułomnym jest człowiek. Sto pokus
Czyha nań zewsząd, a krok nieświadomy
Rychlej się potknie, niż rozum ostrzeże.
Dwa w nas żywioły dyszą wiecznym bojem:
Duch i materya. Miłość matki bogów
Pragnęła tylko ducha, lecz zbudzona
Żądzą się o swe upominała prawa,
I wprędce podległ jej ubogi Attis.

Zbór.

Współczuciem palam i niecierpliwością?

Hierofant.

Zła nimfa jedna, lubieżna Sangaris,
Zamieszkiwała zdrój chłodny, podziemny,
W brzegu morza grzmiącego o brzegi.
A kiedy przyszło południe, zemdlony
Szedł oną stroną Attis w myślach cały
I w zdrój ten pojrzał. U wejścia Sangaris
U nagości pięknej stała, jak bachantka,
Róże we włosach i na licach róże,
A w oczach wszystkie jasne gwiazdy nieba.
I ujrzał Attis łona jej lotusy,
A jako pszczoła za miodem lecąca,
Ustami upadł na białe to kwiecie,
A zaś w zdrój wstąpił i w chłód ten, i świeżość,
W zdrój pełen mroków cienistej zieleni,
I modrej wody, i kropel dźwięczących.

Zbór.

O straszny grzechu! Wino nieskończona!

Hierofant.

Wnet dowiedziała się o tem Kybela,
A gniew jej huknął, jako wielki ogień,
Wszakże i Attis poznał już swą winę,
I gorącemi twarz oblewał łzami,
I o skaliste ściany gór tłukł głowę,
I łkał i płakał przez dzień i noc całą.
A oszalawszy, obrócił swe kroki
Ku wielkiej górze, co nad widnokręgiem
Tron miała, i tam, przed obliczem słońca,
Zdjęty rozpaczą dłoń podniósł na siebie.

Chór.

Drżę cały... Jakże straszne pokajanie!

Hierofant.

A matka bogów i wszechrodzicielka,
Tak się wzruszyła w bolejącem sercu,
Że znów Attisa do łaski przyjęła.
I zeszła k' niemu, i wzięła na łono,
Świętymi włosy krew tamując jasną,
I między bogi wliczywszy człowieka
Na tryumfalny wóz go posadziła,
Na wóz, co światem grzmi, a od tej pory
Jest Attis czystej powrócon miłości.

Zbór.

O szczęście, jak mam pierś uchwycić twoją!

Hierofant.

U źródeł oto tajemnic stoimy.
Ażaż bez winy świat się być dziś mniema?
Wszakże pokuta jest winy koroną,
A nad pierwotną czystość duszy pala
Żar oczyszczenia... W górę myśli wznieście!
Sam Plato, złota i brzęcząca pszczoła
Na ustach bogów, nie znalazł nic nad to.
Zdrój życia bije. O, śpieszcie ku niemu?
Czemże bez życia byłby wszechświat cały?

Przeł. *Marya Konopnicka.*

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Burza. — Kłótnie natury z polityką. — Co mówiły wichry. — Monografia plazmy literackiej. — P. Polikrates z *Niwy*. — Archiwum jako miara wartości — Ukazy i rozprawy papieskie. — Blaga prawowierności. — Bizantynizm i krytyka. — Chłopi w Towarzystwie kred. ziems.—Za wiele nauk—jedna.—Brak odwagi cywilnej.

Zdawało się, że tego lata meteorologia opuści obserwatorya i położy się spać a przez sen powtarzać będzie codziennie, pochmurno, deszcz, chłód, pogoda wątpliwa. Nawet przepowiednie warszawskich proroków brzmiały od pewnego czasu niezmiennie a parasol stał się najmodniejszym strojem „sezonu.“ Jak w życiu współczesnem, kolejno to dmuchał zimny wiatr, to trwała dokuczliwa szaruga, to wzbijały się duszące tumany kurzu, a ponieważ w ostatnich tygodniach gazety zapowiedziały dalszy ciąg „zbrojnego pokoju,“ czyli zmiennej pogody i słoty, więc sądziliśmy, że i natura zastosuje się do tego położenia na ziemi. Tymczasem niespodziewanie 3. b. m. zlatuje na ziemię straszna burza, która łamie lasy, wywraca domy, zalewa wsie i miasta. Pomijając wrażenia wobec szalonego tańca wichrów i sprowadzonego przez nie potopu, ogarnęło nas niezwykłe zdumienie, skąd się wzięła i jaki cel miała owa dzika burza w tej porze, pobłogosławionej przez Bismarka i zapowiadającej ludzkości długie jeszcze dobrodziejstwa? Czyżby meteorologia pokłóciła się ze swą siostrą prasą „dobrze poinformowaną“ a natura ze swą córką polityką? Mniemaliśmy, że przynajmniej w roku bieżącym są to najlepsze przyjaciółki. Dostrzegłszy ich niezgodę, wsłuchiwałem się podczas burzy w jej wściekłe głosy z nadzieją, że może w nich uchwycę jakiś wyraz objaśnienia gniewu przyrody. Nie wiem, czy to było złudzenie, czy rzeczywistość, ale zdawało mi się, że natura z nadzwyczajną zgrozą oskarżała swoją córkę o przeróżne nadużycia i nieposłuszeństwa. Przez trąbę powietrzną ogłaszała naszemu światu, że pogwałcił jej prawa, sponiewierał jej siły, zatamował jej dążenia, wyłamał się z pod jej przeznaczeń, wytworzył sobie jakieś sztuczne życie, które nie posiada ani warunków trwałości, ani przymiotów szczęścia, w którem jedni karmią się niedolą drugich. Była to więc zemsta? Prawdopodobnie, w każdym razie był to przykład. Przestrzeń wskazała ziemi, że nie zna i przez lata całe nie utrzymuje zbrojnego pokoju, lecz gdy w niej zbiorą się i zetrą chmury, rzuca je na siebie i szybko rozstrzyga spór burzą. Dzięki temu systemowi żadna inna planeta oprócz naszej nie ma bajecznych budżetów militarnych a człowiek niepotrzebnie ubliża tym ciałom niebieskim, na których domyśla się istot sobie podobnych. Natura nie popełni dwa razy grubego błędu i drugiej planety nie obsieje ludźmi. Mogła czuć taką chęć za czasów Grecyi klasycznej lub w epoce Odrodzenia, ale nigdy w naszym okresie. A tożby wolała szczepić na Marsie lub Neptunie wilcze łyko i liany.

Zrobiłem to przypuszczenie dlatego, ażeby p. Polikrates z *Niwy*, który mi przepisał Karlsbad przeciw upływowi żółci, nie stracił nadziei, że mi tę wodę sprzeda, jeżeli nią handluje lub mu kilka butelek od własnej kuracyi pozostało. Ze wszystkich matek najczęściej roni i najrzadziej rodzi dojrzałe dzieci literatura. Rozrzuca ona po świecie mnóstwo płodów niedonoszonych, zalążków, potworków, które króciutko żyją i zamierają bez śladu i żalu. Są to ludzie, którym przypadek wkłada pióro do ręki na tydzień, miesiąc, rok, dwa, poczem inny przypadek zamiast artykułów, każe im pisać taryfy kolejowe lub rachunki bankier-

skie, przepycha ich z redakcyi do kantorów i biur, wodzi po różnych stanowiskach, a gdy legną w grobie, na mogile składa im szybko więdnącą niezapominajkę skrzętny bibliograf. Taką plazmą, embryonem dziennikarskim, ziarnkiem ikry literackiej jest szan. Polikrates *Niwy*, który w krótkim czasie swego życia tak zgęszcza pretensye do nieśmiertelności, że chwilami wygląda niby szopkowy tyran tego imienia, uważający prasę postępową za swoje Samos. Pan ten tak stale zaszczyca mnie swoją niełaską, że chociaż rzadko przypominam sobie o jego pudrecie polemicznej, ile razy spojrzę na *Niwę*, zawsze widzę, że zwrócony ku *Prawdzie* robi nader groźne miny, czyli — mówiąc jego językiem—„pieni się" i „opluwa sobie brodę." W ostatnim zeszycie również wypisuje nam złą cenzurę za uwagi o papieżu, Sienkiewiczu, Ochorowiczu, Towarzystwie kredytowem, pojedynkach, a tak jest wszystkiem zirytowany, że nawet wkręciwszy się, jako kran karlsbadzkiego Sprudla, nie powstrzymałby wysięku zbolałej wątroby. O wyleczeniu go nie marzę, ale o złagodzenie cierpień postarać się winienem — więc probuję. „Encykliki stolicy Apostolskiej — powiada on — pozostaną na zawsze w *archiwach* najważniejszych akt, jako świadectwo poglądów na sprawę publiczną Kościoła," podczas gdy roczniki *Prawdy* znikną w zakładach cukierniczych. Pomijając o tyle bezmyślny, o ile kłamliwy koncept odnośnie *Prawdy*, która dla użytku cukierniczego jest za drogą i której wszystkie roczniki były wyczerpywane przez abonentów, podczas gdy z makulatury *Niwy* możnaby porobić płaszczyki spacerowe na lato wszystkim pinczerom Królestwa Polskiego, zwracam uwagę, że jeżeli coś pozostaje „w archiwum," to jeszcze nie dowodzi, ażeby miało jakąś naukową lub cywilizacyjną wartość. W archiwach pozostają także akty hipoteczne, jako „świadectwo poglądów" ziemiańskich na sprawy kredytu; w gałkach kopuł i fundamentach budynków przechowywane są monety współczesne i numery dzienników, a jednakże p. Polikrates zapewne mniema, że jego artykuły są więcej warte, niż kopiejka zamknięta w puszce kamienia węgielnego. Nadto, cokolwiek sądzimy o tej „niespożytej organizacyi," która „przetrwała i przetrwa wszystkie systemy społeczne i polityczne" (a której dziejów ojciec Kościoła z *Niwy* widocznie nie zna, bo wiedziałby, że one również są łańcuchem ciągle zmieniających się systemów), nie myślimy przeczyć, że ukazy papiezkie wywierały i wywierają głęboki wpływ na życie swej owczarni, ale wtedy tylko, kiedy regulują jego stosunki. Zachodzi olbrzymia różnica między ustawodawstwem Kościoła a pisaniną literacką i filozoficzną jego naczelników. Jeżeli papież wydaje prawo dotyczące małżeństw, obowiązków duchowieństwa, świąt, postów, lub wreszcie własnej nieomylności, jeżeli stanowi normy dla wiary lub postępowania wiernych, słowem, jeżeli działa mocą swej *władzy*, wówczas każdy akt jego *urzędu* jest ważnym. Ale inna sprawa, jeżeli on występuje ze swoją wiedzą, nauką, filozofią; wówczas podlega sądowi wiedzy, nauki, filozofii, który jego gadaninie może odmówić wszelkiego znaczenia. Gdyby więc Leon XIII wydał encyklikę nakazującą wiernym owieczkom chodzić na czworakach, miałaby ona praktyczną wagę, bo pewna część owczarni usłuchałaby swego pasterza. Ale on napisał rozprawę o swobodzie, rozprawę czysto filozoficzną, którą ocenić należy probierzem filozoficznym, chociaż jej autor ma bezpośrednie stosunki z duchem św. Wypracowanie to złożonem będzie w „archiwum!" Argument druzgocący! A jeżeli Leonowi XIII przyszłaby chęć napisania encykliki o taryfach celnych, która także byłaby złożona do „archiwum" i stanowiła „świadectwo poglądów Kościoła" na handel międzynarodowy, czy też państwa katolickie zmieniłyby swe systemy celne? Wątpię i przypuszczam, że nawet p. Polikrates tego by nie wymagał. Czemuż żąda uległości od filozofów? Dzieła Augustynów, Tomaszów i innych teologów nie były przechowywane w „archiwach," a jednakże dotąd pomimo niezgody szanujemy je, bo to były prace mędrców, którym Joachim Pecci nawet z wysokości tronu papiezkiego do kostek nie sięgnie. I p. Polikrates niech nas nie tumani swą prawowiernością, bo za lat 5 nie będzie nic wiedział o „poglądach Kościoła," czyli Leona XIII na swobodę, a będzie jeszcze pamiętał wiele... artykułów z *Prawdy*. Dziś zaś wzięty na egzamim, zdałby go może przed Chmielowskim z Orzeszkowej, ale nie zdałby z pewnością przed ks. Nowodworskim z Piusa IX. Po co więc ta cała blaga z „archiwami" papiezkiemi?

O powieści Sienkiewicza odezwaliśmy się z wielkiem uznaniem, zrobiliśmy tylko parę uwag i zastrzeżeń krytycznych. Tymczasem Sienkiewicz i krytyka — to dla pewnej kliki dziennikarstwa warszawskiego pojęcia tak niewspółmierne, jak np. Leon XIII i biuro paszportowe. Wolno tego autora podziwiać, zapraszać na rauty, urządzać mu wielkie i małe owacye, ale nie wolno powiedzieć, że jego Zagłoba ma tylo w sobie rzeczywistości, ile cyklop. Szanowni panowie z bałwochwalczego chóru, jeżeli wam nikt nie przeszkadza w śpiewaniu hymnów bezmyślności, nie dziwcież się głosom trzeźwej rozwagi: dla was Sienkiewicz jest bożyszczem a dla nas człowiekiem piszącym i podległym krytyce. My mówimy o nim w szkole, a wy modlicie się do niego w sekciarskim zborze.

Jak Rejtan kładzie się p. Polikrates na progu Towarzystwa kredytowego ziemskiego, ażeby tam nie wszedł chłop, gdyż (ciekawa argumentacya) 1) mógłby to być Burak lub Zołzikiewicz (!), 2) Towarzystwo jest przedsiębiorstwem finansowem, do którego „najbardziej nawet wybitni włościanie się nie nadają," 3) ich udział źle oddziałałby na kurs Listów zastawnych, 4) chłopi w parlamentach przy najważniejszych sprawach wołają tylko o „lasy i pastwiska." Ostatni punkt przekonywa, że p. Polikrates słyszał raz dzwonienie w sejmie lwowskim, ale o innych europejskich nie ma żadnego wyobrażenia. W sejmach prowincyonalnych austryackich i niemieckich zasiadają chłopi i nieraz mądrzej przemawiają od panów. Trudno zaś pojąć, dlaczego by w instytucyi z tak prostym mechanizmem, jak Towarzystwo kred. ziem., które przecież nie robi wcale śmiałych operacyj finansowych, lecz idzie ubitym gościńcem, „najwybitniejszy włościanin" miał gorzej radzić od szlachcica, który skończył dwie klasy gimnazyum a braki swej wiedzy ekonomicznej dopełniał przy zielonym stoliku, w rachunkach z ekonomem lub portyerem hotelowym. Zresztą jeden a nawet (odważmy się na tak straszne przypuszczenie!) pięciu Pełetków lub Buraków, zwłaszcza wołających tylko o „lasy i pastwiska," nie przeważyłoby tak dalece jednej szali losów Towarzystwa, które na drugiej ma setki radców uczonych w finansowości, ażeby aż ucierpiał kurs Listów zastawnych. Natomiast gdyby Pełetkowie i Buraki byli weszli do tego przybytku wiedzy finansowej, może fundusz użyteczności publicznej po długoletnim odcukrowywaniu się nie potrzebowałby odbywać kolistej drogi, zanim wrócił do nas i wytworzył Bank włościański.

Z powodu nowej sprawy pojedynkowej, która zakończyła się z jednej strony daremnem napieraniem a z drugiej — taktyką skunksową, poświęciłem słów parę temu przedmiotowi. P. Polikrates, który ze swego dziurkowatego mózgu zrobił formalny przetak do przesiewania moich artykułów, oświadcza, że i to mu się nie podoba. Szanowny panie, co ja na to poradzę? Gdybym nawet zechciał być tobą, wątpię, czy zdołałbym tak się rozdąć, ażebym ci wyrównał, albo tak się skurczyć, ażebym w ciebie wlazł. Musimy pozostać sobą: ty cudnym kwiatem ziemi polskiej, a ja jej szpetnym ostem; ty przymus pojedynkowy będziesz rozumiał tylko pod postacią „wzięcia za kołnierz" a ja—w formie nacisku moralnego. Cieszy cię to, szanowny mężu, że „jedno z pism codziennych udzieliło *Prawdzie* zasłużoną odprawę" za artykuł o encyklice papiezkiej. Czemużeś nie wyjawił tytułu tego pisma i nie przytoczył, jaką nam dało. „odprawę?"

Kończę a za wiele nauk dam jedną: mądry panie Polikratesie, już jeżeli lekceważysz inne warunki poważnego publicysty, to przynajmniej pisz po polsku: język nasz nie zna „*obesłania* władz Towarzystwa."

Ktoś w *Kuryerze codziennym* zdziwił się, że 100 kilku członków Kasy zjednoczenia kolei Nadwiślańskiej, którzy podpisali wniosek o zwiększenie wysokości i długości pożyczek, na zebraniu, mającem rozstrzygać tę sprawę, stopniało do kilkunastu. Autor nie może zrozumieć tego braku „odwagi cywilnej." Pomogę mu: gdybyś panie *m. w.* służył na drodze Nadwiślańskiej, gdzie wszystkiego nie wolno, od spoczynku w godzinach pobiurowych aż do obsiewania ziemi dróżniczej zbożem; gdybyś naczytawszy się przeróżnych okólników, powziął myśl i z za obłoków ujrzał zmarszczone oblicze pp. Halperna lub Hantowera, odbiegłby cię niezawodnie wszelka „odwaga." Ci ludzie niepewni swego chleba mają być śmiali, kiedy członkowie Kasy pożyczkowej, ludzie niezależni, pozwolili prezesom ostatniego zebrania okrzyknąć „znanego" — jak powiada *Kur. warsz.* — p. F.? A ręczę, że jego wyborcy ciągle wolają: powinna być u nas opinia!

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Gniew natury i straty ludzkie. — Już dziatwa w drodze! — O ile ubodzy chorzy korzystają z dobrodziejstw szpitalnych.—Gospodarka chłopska w okolicach Popielan. — Rzemieślnicy u siebie. — Niewłaściwie stosowana metoda. — Jak dążą do światła chłopi świętosławscy. — Kandydat nauk matematycznych nauczycielem ludowym. — Mimowolny policzek. — Wspaniałomyślność i hojność kolei Fabryczno-Łódzkiej.

Niebiosa płaczą i ludzie płaczą. Ze wszystkich stron kraju dochodzą żałosne jęki i wieści o klęskach na roli wskutek ulewnych deszczów, trwających niemal bezustannie od kilku tygodni. Tam siano popłynęło, porwane rozlaną rzeczką, owdzie pszenica zgniła na pniu lub porosła w kopach i mendlach. Gospodarze, korzystając z chwilowego uśmiechu nieba, ładują snopy na wozy i zmykają z własnych pól trwożnie do domu, aby gniewna przyroda nie odebrała im ocalonych resztek z całorocznej pracy. Nie dość tego. Pioruny palą chaty, stodoły, chlewy, zabijają po kilka osób naraz. Natura szaleje i krzywdzi ludzi, jakby się kształciła na ludzkich wzorach. W stosunku prostym do mnożących się klęsk, wzrastają wszelkie cierpienia ciała i ducha, a dla zapobieżenia im jesteśmy za ubodzy i za mali, ale przynajmniej mamy tę zasługę, że nam nie zbywa na dobrych chęciach. Czasem nawet porwani w szczęśliwej chwili do czynu, oglądamy prędko jego owoce, jak np. w Radomskiem, gdzie grunt jest pod tym względem najurodzajniejszy. Prędzejbym się spodziewał zwiększenia etatu i pensyi urzędnikowi kolei Nadwiślańskiej, niż kolonij leczniczych we dwa tygodnie po zaprojektowaniu. Urządzono je w Solcu pod opieką lekarską dr. Józefa Piaszczyńskiego. Zarząd kąpielowy również przyobiecał ulatwić małcom pobyt na kuracyi. Składki — jak zapewnia *Gaz. radomska* —

napływają bez przerwy. Kilku lekarzów zajęło się gorliwie tą sprawą. Oby tak inni cierpiący znaleźli prędką ulgę, np. ubodzy, szukający porady lekarskiej. Doświadczają oni wiele niedogodności w obu szpitalach radomskich, które przez lat dwadzieścia kilka wydawały lekarstwa dla niezamożnych mieszkańców bezpłatnie (jeden za 150, drugi za 100 rs. rocznie). Fundusz na ten cel przeznaczony zużytkowano niedawno w inny sposób: otworzono ambulatorya bezpłatne, zaś chorzy niezamożni mają w aptekach podręcznych wyrabiane i wydawane lekarstwa bezpłatnie. Ale niestety, przyjmowani są tylko zrana i muszą sami przybyć na miejsce, a recepty są podpisywane tylko przez lekarzy szpitalnych. Wskutek tego obłożnie chorzy, szczególnie ojcowie rodzin lub pracownicy, którzy nie mogą osobiście przyjść rano, albo w wypadkach nagłych, pozbawieni są prawa uzyskania bezpłatnie lekarstwa, nawet wtedy, gdy nie mają ani grosza. Powinniby lekarze miejscowi zająć się tą sprawą równie gorliwie, jak koloniami leczniczemi.

Jeden z zawiedzionych z gminy W. (gub. kieleck). skarży się w *Gazecie świątecznej* na wyzysk swych braci. Przyciśnięty biedą, udał się do pisarza gminnego z prośbą, aby go przedstawiono do pożyczki. „Dobrze, ale przyjdź za kilka dni, bo dziś czasu nie mam.“ Przychodzi — znowu odprawa. To się powtarzało pięć razy, a za każdym razem straty pół dnia i kilka wiorst drogi. Za piątym razem chłop się dowiedział, że niema pieniędzy w kasie. Gdy były — dano mu znać. Poszedł zrana, pisarz kazał mu czekać. Czekał aż do wieczora; gdy ściemniało, kazano mu iść do domu i wrócić zrana. Niezrażony jeszcze, zjawia się nazajutrz; wtedy mu polecono zawołać kasyera; ten zażądał wójta, a wójt członków. Gdy się wszyscy nareszcie zebrali, powiadają mu, że są pomęczeni, więc nim kasę otworzą, muszą się posilić. Nie było rady, kmieć wszystkich zaprosił do karczmy. Po kieliszku i kufelku jeszcze było za mało, więc przychodziły na stół: bułki, kiełbasy, śledzie, znowu kufelki itd. Gdy się najedli i napili do syta, przyszli do kasy, ale głów swych nie znaleźli, więc znowu sprawę odłożyli. Nazajutrz nie było pisarza, czekaj cały dzień. I tak znowu szło sześć dni, zanim biedakowi kilka rubli pożyczyli. Kiedy teraz wszystko sobie rachuję — powiada chłop — to widzę, że ta pożyczka więcej mię kosztowała, aniżeli gdybym poszedł do Lejby, Icka albo Abrama. Kto potrzebuje dostać 30 rubli, to dziesięć musi wydać na poczęstunki. Dlaczego — pyta wyzyskany — kasa pożyczkowa nictylko nie ratuje tonących, ale ich jeszcze głębiej popycha? Bo gospodarze źle się na zebraniach i wyborach rządzą, mało dbają o to, kogo obrać na wójta, pisarza, kasyera, pełnomocników.

Nietylko w takich razach włościanie źle się rządzą. W okolicach Popielan panuje rujnujący system dzierżawny. Prawie każdy gospodarz oddaje swój folwarczek lub chatę w dzierżawę, a następnie dzierżawca odstępuje go jeszcze od siebie na połowę. Tym sposobem mnóstwo jest chat, w których mieszkają trzy rodziny: właściciel, dzierżawca i „połownik.“ Każda rodzina składa się z kilku osób, co najmniej czterech, pięciu, nadto połownik utrzymuje jeszcze robotników najemnych dla obrabiania gruntu. A więc jedną chatę zamieszkuje około *dwudziestu* osób, które muszą się wyżywić z jednego kawałka ziemi, przeznaczonego właściwie dla jednej rodziny. Skutkiem tego z każdym rokiem bieda wzrasta, a na nią się zniża strona moralna ludu tamtejszego. Dziś prawie wszędzie w sferach ciężkiej pracy da się zastosować przysłowie ludowe: „Maciek zarobił, Maciek zjadł.“ Póty znośnie (gdy siły służą), póki z tego zarobku nie trzeba żywić wielu innych Maćków; wtedy — nędza i rozpacz. To się spotrzega coraz częściej śród naszych rzemieślników. Gdybyśmy się głębiej w tych stosunkach rozejrzeli, przyszlibyśmy do przekonania, że oprócz warunków ekonomicznych, działa tu zgubnie apatyczne usposobienie i bezrząd. Na tę ostatnią wadę uskarża się *Gazeta rzemieślnicza*, kładąc nacisk na brak ludzi, „którzy z całą świadomością i dokładnie odróżnialiby *swoje* od *gromadzkiego*.“ Skutkiem takiego pojęcia bywa często wyczerpanie grosza publicznego na użytek prywatny. Nie można wszakże pomimo to nazwać zarządzającego oszustem lub złodziejem. Nadużywa on zaufania publicznego, będąc przekonanym o swej uczciwości i że w razie potrzeby zapełni lukę własną pracą. O wszczepieniu pojęć etycznych, jako zbawiennego środka, dziś niema mowy tam, gdzie jeszcze światło z trudnością się przedziera i bywa wywalczane dla młodszych pokoleń karą pieniężną. Ta metoda skuteczna, przy niewłaściwem stosowaniu, zasługuje na naganę. Uczeń, zapisujący się do szkoły — jak objaśnia pewien drukarz — przyjmowany bywa bez zaświadczenia majstra lub zakładu, gdzie pracuje, na gołosłowne zeznanie. Kary nakładane na majstrów (60 kop.) za opuszczony dzień w szkole przez malca, ściągane bywają po upływie roku i później, bardzo często wtedy, gdy już ucznia niema w terminie (porzucił pracę, przeniósł się do innego majstra, został wyzwolony, albo umarł). Środek taki, jeśli przy naszych urządzeniach nie stać na lepszy, może być skutecznym tylko przy natychmiastowem stosowaniu i ścisłem sprawdzaniu stosunku ucznia do majstra. „Dobra nauka temu, kto jej szuka,“ aby zaś wdrożyć ciemnych do jej poszukiwania, trzeba im dać zdolnych i sumiennych kierowników. Czy ich brak u nas? Nie, ale kto zna istniejący porządek rzeczy, uśmiechnie się ironicznie, gdy jest zgoryczony, boleśnie — gdy uczciowy. Lud nasz nie jest wrogiem oświaty, przeciwnie — chętnie się garnie do niej, gdy ma sposobność. Osowski ze Świętosławia (gub. płocka), włościanin, chwali się w *Gazecie świątecznej*, jak mając już lat 19, nauczył się czytać i pisać. „Teraz więcej jest takich u nas — powiada — bo ze mnie biorą przykład inni, widząc, że mogłem się nauczyć czytać, będąc już dorosłym... Dwie osoby nauczyły się tak, że i list, gdzie potrzeba, pod moim dozorem napiszą. Jest już u nas i książek sporo. Są wprawdzie jeszcze i tacy ludzie, co sobie z czytania nic nie robią i lekceważą naukę, ale i ci jednak, gdy słyszą jaką historyę, co do śmiechu ściąga każdego, to choć nie chcą słuchać, jednak ona sama im się do głowy tłoczy tak, że potem nawet innego czytania słuchają z ochotą...“ Miły to fakt! Niech tam nauka choć zapomocą śmiechu wpływa do głów ciemnych. Jakże smutnie świadczy o naszych stosunkach społeczno-ekonomicznych inny szczegół. W Lublinie do naczelnika dyrekcyi naukowej wniósł podanie *kandydat nauk matematycznych*, p. N. z prośbą o zamianowanie go na nauczyciela *szkółki początkowej* wiejskiej, gdyż pomimo ukończenia uniwersytetu nie może znaleźć posady odpowiedniej swemu wykształceniu. Takie wypadki staną się z czasem powszednimi, ale dzieją się u nas ciekawsze rzeczy. P. Teodor Serednicki, właściciel Kozic Dolnych, składa w *Gazecie lubelskiej* (w dziale ogłoszeń) publiczne podziękowanie warszawskiemu Towarzystwu ubezpieczeń od ognia „za zupełnie sprawiedliwe i ludzkie zlikwidowanie straty wyrządzonej przez pogorzel.“ Gdybym był na miejscu owej instytucyi, a nie poczuwał się do winy, tobym panu Serednickiemu wytoczył proces o *dyfamacyę*, bo z ogłoszenia można wnosić, że Towarzystwo ubezpieczeń wyrobiło sobie sławę nie zupełnie sprawiedliwego i ludzkiego likwidowania strat, skoro za wykonanie prostej powinności trzeba publicznie dziękować. Miałożby tak być w istocie?..

Kto wie, może się doczekamy tych czasów, gdy urzędnicy kolejowi będą przez ogłoszenia w gazetach składać dziękczynne hołdy zarządom za płacenie pensyi. Do tego wszakże musi być jeszcze daleko, skoro dotąd istnieją *gratyfikacye*. Największą wspaniałomyślnością może się poszczycić kolej Fabryczno-Łódzka, która w stosunku do przestrzeni i liczby oficyalistów okazała się najhojniejszą przeznaczając aż 3,400 rubli do rozdania swemu personelowi. Podobno — jak utrzymuje kronikarz *Dziennika łódzkiego* — długo rozważano, w jaki sposób dokonać podziału tak wielkiej sumy i... przyznano nagrody „grubym rybom“ za to, że niewiele mają do roboty. Ci zaś, którzy pracują mozolnie od rana do nocy, nie dostali *nic*. Szczytną jest zacność i logika zarządu drogi przemysłowej!

Drogomir.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Zaprowadzono zmianę w ustawie ubezpieczeń robotników na wypadek śmierci lub kalectwa przy pracy. Paragrafy zastrzegające, że wypłata premii w razie wypadku obowiązuje wtedy tylko, jeżeli robotnik uległ nieszczęśliwemu wypadkowi w obrębie zakładu fabrycznego, obecnie rozszerzono w ten sposób, że za pewną dopłatą ubezpieczenia te obowiązywać będą także w razie wypadku po za fabryką, jeżeli robotnik był zajęty jej sprawami.

W Odesie miejscowy generał-gubernator, zwiedzając zakłady naukowe, zwrócił uwagę na niezwykle chorowity wygląd uczniów. Chcąc dostarczyć im właściwych rozrywek na świeżem powietrzu, sprzyjających rozwojowi fizycznemu na równi z umysłowym, p. generał-gubernator odniósł się w tej sprawie do kuratora okręgu odeskiego. Przy tej sposobności poruszono pytanie: w jakiej formie mogłyby wziąć udział zarządy miejskie w staraniach około rozwoju fizycznego dzieci miejscowych obywateli i poprawienia ogólnego stanu ich zdrowia. Wskutek tej odezwy p. Solskij przedstawił plan utworzenia zabaw szkolnych i ćwiczeń ciała, wypracowany przez komisyę z naczelników rozmaitych szkół średnich.

W Teheranie otwarto pierwszy w Persyi bank prywatny.

Na kolei Terespolskiej w końcu b. m. będzie dokonana przez służbę zdrowia rewizya wzroku u osób pełniących obowiązki stacyjne. Krótkowidze oraz dotknięci tak zwaną kurzą ślepotą, przeniesieni będą do zajęć biurowych. Rewizye te mają na celu ochronienie od możliwych wypadków skutkiem złego wzroku przy wyprawianiu i prowadzeniu pociągów.

Akcyj zawiązującego się towarzystwa naftociągów kaukazkich dotąd nie pokryto. Z braku więc kapitałów sprzedane one będą amerykańskiemu towarzystwu „Standardt oil Company,“ które zmonopolizowało amerykańskie naftociągi.

Trucizna w węgorzu. Jeden z przyrodników włoskich przedstawił akademii *dei Lincei* w Rzymie rezultat badań swoich, wykazujący, iż węgorz zawiera truciznę podobną do jadu żmii. Nie jest ona wszakże bardzo szkodliwą, gdyż się nie gromadzi w gębie, lecz rozproszona jest po całem ciele. Trucizna ta nie wywiera wpływu na organy trawiące i przy gotowaniu traci swój jad. Węgorz ważący dwa kilogramy, zawiera podobno tyle trucizny, że wystarczyłaby na zabicie dwóch ludzi.

Szkoły. W Rydze odbędzie się wkrótce nadzwyczajne zebranie szlachty liflandzkiej w celu postanowienia przemiany języka niemieckiego wykładowego w gimnazyach w Fellinie i Birkenru na ruski. Jeżeli szkoły te będą zamknięte na mocy postanowienia narady, skarbowi należy zwrócić rs. 40,000 zapomóg dotychczas udzielanych.

— Z raportów kuratorów okręgów naukowych — pisze *Nowoje Wremia* — pokazuje się, że prawie we wszystkich gimnazyach i progimnazyach nadal istnieć będą klasy przygotowawcze kosztem zadeklarowanych środków przez rady miejskie i ziemstwa.

— Dyrektor szkoły rzemiosł, p. Jerzy Kühn, który od roku już zastosował w swojej szkole *Stöjd*, otrzymał obecnie polecenie p. kuratora okręgu naukowego, aby pomienioną metodę wprowadził i kierował nią w szkole imienia Konarskiego.

Departament medyczny opracował szereg środków, mających na celu zapobieganie pokąsaniom

przez psy wściekłe: 1) zakaz wypuszczania psów bez kagańców, te ostatnie muszą być jednak tak urządzone, aby nie przeszkadzały przy piciu wody; 2) systematyczne tępienie błąkających się psów; 3) ustanowienie dodatkowego podatku na korzyść specyalnych komitetów obserwacyjnych; 4) naznaczanie nagród za każdego zabitego wilka.

Koleje żelazne. Rozpatrzony przez radę zarządzającą kolei Wiedeńskiej projekt oszczędnościowy, wypracowany i złożony jej przez pełnomocnika akcyonaryuszów belgijskich i francuzkich, p. Litsena, większością głosów odrzucono, wychodząc z tej zasady, że kolej Wiedeńska, w porównaniu z zagranicznemi, posiadającemi mniejszy personel służbowy, obsługiwaną jest wzorowo, co dodatnio oddziaływa na interesy Towarzystwa. Natomiast przyjęto zamierzone ograniczenie w wydatkach rzeczowych.

— Na zgromadzeniu nadzwyczajnem kolei Nadwiślańskiej roztrząsano projekt ustanowienia pożyczki dla urzędników w rozmiarze pensyi dwumiesięcznej z rozkładem spłaty na dwa lata. Wniosek ten, popierany 14 głosami, upadł pod przewagą 128. Przewodniczący odczytał wyciąg z rubryki „zaliczek wydawanych na rachunek pensyj miesięcznych,“ który wykazuje, iż przeciętnie 193 pracowników otrzymuje zaliczki w wysokości ogółem 1,761 rs. Aby uniknąć „kłopotu“ i nie zadawać sobie trudu z rachunkami, zarząd postanowił skasować ten rodzaj pożyczek po upływie dziewięciu miesięcy, tj. po zupełnem uregulowaniu rachunków z dłużnikami.

Wynalazek. Elektrotechnik p. Abakanowicz zbudował nowy telefono-mikrofon, który pozwala słyszeć rozmowę w oddaleniu o kilka kroków od aparatu. Cena przyrządu, nie licząc przewodnika, nie przewyższa podobno 30 rubli.

W Monachium z okoliczności stuletniego jubileuszu urodzin króla bawarskiego, Ludwika I, odbył się pochód historyczny, w którym brało udział około 10 tysięcy osób. Przed pomnikiem króla Ludwika urządzono wspaniałą estradę dla rodziny królewskiej i dworu. Kiedy przez Ludwigstrasse przechodził oddział ze słoniami tresowanymi, te przelękły się smoka i wozu żelaznego, rzuciły się w bok i poczęły uciekać przez Odeonsplatz, Residenzplatz i ogród angielski, wyłamały bramę przy teatrze i mennicy, potratowały mnóstwo ludzi, z których wiele śmierć poniosło.

Z Torunia donoszą, iż wszyscy wybitniejsi członkowie polskiej spółki rolnej, założonej w celach parcelowania gruntów w powiecie świeckim, oskarżeni zostali o „nielegalną kolonizacyę“ i pozwani na termin do Świeca na 10 b. m. Jako świadkowie występować mają nabywcy parceli.

Burze. Straszna burza szalała w nocy z d. 2 na 3 b. m. w całym kraju. Wyrządziła olbrzymie szkody na polach, w ogrodach i w miastach.

— Wylewy na Szląsku zwiększają się. Cztery linie kolejowe woda zniszczyła (według *Kur. warsz.*). Żniwo zupełnie przepadło.

— W Królestwie Polskiem, według danych urzędowych, od początku roku do 13 lipca zginęło od pioruna 34 osób.

Komisya do spraw żydowskich, obradująca pod przewodnictwem hr. Pahlena, zwróciła baczną uwagę na odnośne ustawodawstwa i projekty reformacyjne w dawnej Polsce. Broszura Czackiego „O żydach,“ z polecenia członków komisyi tłomaczoną była dwa razy.

Zapis. Zmarły niedawno doktor generał Erazm Dylewski, zapisał 24,000 rs. na stypendya przy uniwersytecie warszawskim. Z ofiary tej korzystać mogą przedewszystkiem członkowie rodziny Dylewskich i Klersnowskich, rodem z gub. wileńskiej i grodzieńskiej.

W Tomsku d. 4 b. m. otwarto uniwersytet.

Zmarli. Wiktorya Benedictson, znana autorka szwedzka, pisująca pod pseudonimem Ernesta Ahlgren, odebrała sobie życie w Kopenhadze, przecinając żyły u szyi. W r. 1883 wystąpiła ona po raz pierwszy z dziełem: „Obrazki z życia ludu szwedzkiego“ i zwróciła odrazu na siebie powszechną uwagę. Wybitne romanse: „Pieniądze“ i „Pani Maryanna.“

— Sheridan, głównodowodzący armią Stanów Zjednoczonych, wsławiony w wojnach z indyanami.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. R. Ber. w Ałuszcie. J. Karłowicz daje następującą odpowiedź na pytanie Pańskie co do ludowych nazw roślin: *Zbiór wiadomości do antropologii krajowej*, tom VI, str. 201—321 działu 3-go; tom VIII, str. 256—259 działu 3-go; tom X, str. 105—107 działu 3-go, str. 205 działu 3-go; tom XI, str. 51—57 działu 3-go. Kolberg, Lud, serya VII, krakowskie, cz. 3-a, str. 118—132. *Wisła*, tom II, zeszyt I, artykuł E. Orzeszkowej. Zresztą nazwy ludowe roślin spotykają się sporadycznie w dziełach Kolberga, w „Encyklopedyi rolniczej“ i w różnych książkach etnograficznych i przyrodniczych. Systematycznego zbioru ich nie posiadamy.

Żądającym za naszem pośrednictwem taniego wydania pism Mickiewicza donosimy, że nakładca będzie je mógł dostarczyć dopiero za kilka tygodni.

P. Gozd. Prosimy o dokończenie.

P. Idz. Współpracownikiem *Prawdy* może być każdy, kto napisze coś dla niej pożądanego i odpowiedniego. O jakie więc „przyjęcie“ Panu chodzi?

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu zachowuje.

Sprostowanie. W nr. 31, w tytule artykułu, zamiast „Gwiazda zbrodni,“ winno być „Gniazdo zbrodni.“

Ogłoszenia.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na poczcę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 29 Іюля 1888 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.